

MIROSLAW KWIECIŃSKI

## ŁOWIECTWO W DOBRACH ZAKOPIAŃSKO-KÓRNICKICH WŁADYSŁAWA ZAMOYSKIEGO

### CZEŚĆ II

W zamieszczonej w 27 zeszytce „Pamiętnika Biblioteki Kórnickiej” I części niniejszego opracowania, prezentującej gospodarkę łowiecką na terenie majątków kórnickich Władysława Zamoyskiego, przedstawiono także, w miarę możliwości dokładnie, jego osobiste zaangażowanie łowieckie. Warto zatem jedynie przypomnieć, że wielkiej pasji myśliwskiej Hrabia nigdy nie miał, co nie przeszkadzało mu wykorzystywać jej u innych, jeśli tylko mogło to pomóc w prowadzonych przez niego interesach lub przynieść wymierną korzyść. Sformułowana zatem przez Filipa Ziębę i Tomasza Zwijacza Kozicę opinia, iż W. Zamoyski „[...] myśliwym nie był i zasadniczo nie pozwalał polować swojemu personelowi leśnemu”<sup>1</sup> jest zbliżona do prawdy jedynie w pierwszej części. W całym bowiem okresie (ponad trzydziestu lat), kiedy Hrabia był właścicielem dóbr zakopiańskich, padały w tatrzańskich lasach niedźwiedzie, jelenie, sarny, świstaki, wydry, rysie, lisy, a przede wszystkim głuszce. Należy tu zaznaczyć, że wymienione gatunki były pozyskiwane zgodnie z obowiązującymi przepisami oraz asygnatami wystawianymi przez Zarząd Dóbr. Zupełnie odrębną kwestię stanowiło kłusownictwo uprawiane przez góralskich „polowacy”, choć, co zostanie przedstawione w dalszej części, nie tylko przez nich.

Nie jest jednak możliwe, nawet w przybliżeniu, określenie liczby pozyskiwanej zwierzyny czy nakładów na łowiectwo, bowiem źródłowe materiały są dalece niekompletne. O ile od roku 1900, choć brak jest dokumentów finansowych, możliwe jest śledzenie wielu spraw w oparciu o korespondencję przychodzącą do Zarządu Dóbr, to okres pierwszych około 10 lat posiadania dóbr

---

<sup>1</sup> F. Zięba, T. Zwijacz Kozica, *On, czyli prawie wszystko o tatrzańskim niedźwiedziu*, Zakopane 2005. s.25.

zakopiańskich<sup>2</sup> przez W. Zamoyskiego (od 1889 r.) ma bardzo nikłą dokumentację. Być może jest to wynik kilku pożarów, zarówno w Kuźnicach, jak i w fabryce papieru, które prawdopodobnie pochłonęły przechowywane w spalonych budynkach akta. Ponieważ jednak, jak to zaznaczono w I części artykułu, łowiectwo w Zakopanem prowadzone było w inny sposób, niż w części kórnickiej dóbr Hrabiego, szczegółowe prezentowanie jego strony ekonomicznej czy organizacyjnej nie miałoby i tak większego znaczenia dla oddania jego charakteru. Łowiska zakopiańskie służyły bowiem W. Zamoyskiemu do zyskiwania przychylności ludzi, na których mu zależało, odwdzięczania się tym, którzy wyświadczyli jemu samemu (lub jego znajomym) mniejsze czy większe przysługi, bądź podkreślania (co w okresie sporu z księciem Ch. K. Hohenlohe<sup>3</sup> o Morskie Oko było niezwykle ważne) swego prawa własności do spornego terytorium. Zatem wspomniane wcześniej braki są na szczęście niezbyt dotkliwe. Zachowana dość obszerna korespondencja zawierająca: prośby o zaproszenie do zakopiańskich łowisk, podziękowania za udane łowy albo chociaż za samą możliwość polowania, doniesienia leśniczych o licznych przypadkach kłusownictwa czy postępowaniu „jęgrów”<sup>4</sup> ks. Hohenlohego, uzupełniona, co prawda nielicznymi, doniesieniami prasowymi – oddaje w miarę wiernie sposób prowadzenia gospodarki łowieckiej w dobrach zakopiańskich.

Pierwszą wzmiankę o polowaniu po nabyciu Zakopanego przez W. Zamoyskiego znajdujemy w liście H. Sienkiewicza do Adama Krechowickiego<sup>5</sup> z dnia 2 października 1891 r.:

Brakło nam Pana ogromnie w Zakopanem [...]. Po Pańskim wyjeździe było polowanie na niedźwiedzia, ale bez niedźwiedzia; zresztą, deszcz padał, padał i padał<sup>6</sup>.

<sup>2</sup> W. Zamoyski kupił zdewastowane (zwłaszcza jeśli chodzi o lasy) dobra zakopiańskie na publicznej licytacji w roku 1889, zadłużając się przy tym poważnie. Z. Celichowski, pełnomocnik Hrabiego w Kórniku, uważał Zakopane za „kamicę u szyi, z którym trzeba bardzo żwawo płynąć pod prąd, aby nie utonąć” (BK 7617/1).

<sup>3</sup> Christian Kraft zu Hohenlohe Öhringen (1848-1926), pruski magnat, właściciel dóbr w Tatrach, na Śląsku i w głębi Węgier o łącznej powierzchni ponad 250 000 ha. Zapalony myśliwy, twórca liczącego ok. 1000 ha zwierzyńca obejmującego Dolinę Białej Wody, Szeroką Jaworzynską, Dolinę Jaworową i część Tatr Bielskich.

<sup>4</sup> Straż pilnująca terenów łowieckich i zwierzyńca księcia na Jaworzynie, złożona głównie z Tyrolczyków.

<sup>5</sup> Adam Krechowicki (6 I 1850-13 VI 1919), powieściopisarz, dramaturg, krytyk. Długoletni (1883-1918) redaktor „Gazety Lwowskiej”. od 1901 prezes Towarzystwa Dziennikarzy Polskich, przyjaciel H. Sienkiewicza.

<sup>6</sup> H. Sienkiewicz, *Korespondencja*, T I, s. 375, [w:] *Dzieła*, T. 55, W-wa 1951.

Czy rzeczywiście otropiono niedźwiedzia, ale nie udało się go „ruszyć” naganec, czy też chciano jedynie zrobić przyjemność pisarzowi udziałem w polowaniu na rzadkiego już wówczas zwierza, mimo, że szansa spotkania z nim była być może bliska zeru – trudno dziś dociec. W każdym razie, mimo częstych pobytów H. Sienkiewicza w Zakopanem i udokumentowanych kontaktów z Hrabią oraz jego znanej powszechnie pasji łowieckiej, innych śladów udziału pisarza w zakopiańskich polowaniach nie znaleziono. Druga wzmianka sprzed 1900 roku pochodzi z „Kwitaryusza sprzedaży trunków propinacyjnych na rok 1892”. Pod datą 29 lutego 1892 r. znajduje się wpis „R-k J.W.Hrabiego, na polowanie 2 but. wina S III a’ 0,35 = 0,70 złr., 1 litr wódki a’ 0,56 złr.”<sup>7</sup>. Trzecia informacja na temat polowań w pierwszych latach posiadania dóbr zakopiańskich przez W. Zamoyskiego znajduje się we wspomnieniach Władysława Bieńkowskiego<sup>8</sup>, zatrudnionego u Hrabiego od 1 września 1892 r., poświęconych głównie sporowi o Morskie Oko. Opisując jedno ze spotkań na ścieżce od „Wanty” do Zabiego z urzędnikami ks. Hohenlohe przytacza on rozmowę z leśniczym z Jaworzyny, Wiktorem Fingerem, w której na uwagę tego ostatniego, że las w którym się znajdują, należy do ks. Hohenlohego, W. Bieńkowski odpowiedział:

Dziwna rzecz! Jestem tu 10 lat, a jeszcze tego nie słyszałem. Owszem las ten oddano mi pod nadzór od pierwszej chwili mego tu pobytu, tyle razy tu patrolo-  
wałem, polowałem, a pana nigdy nie spotkałem [...]<sup>9</sup>.

Nie można oczywiście w oparciu o trzy wymienione wyżej informacje wyciągać jakichkolwiek wniosków co do intensywności prowadzenia gospodarki łowieckiej w latach 1889-1900, ale są one świadectwem, że teren dóbr zakopiańskich był łowiecko użytkowany. Na terenie majątków kórnickich pozyskiwano najczęściej zające i kuropatwy, z rzadka sarny, a wręcz incydentalnie jelenie – były to więc najczęściej łowy na drobną zwierzynę. Łowiska zakopiańskie natomiast dostarczały zupełnie innych wrażeń myśliwskich i wpisywały się w dawną tradycję *venatio magna* t.j. „wielkich łowów” stanowiących niegdyś monopol książęcy. Monopol ów ulegał co prawda powolnej erozji już od XIII wieku, kiedy to Władysław Odonic nadał poznańskiemu biskupowi prawo swobodnego polowania we wszystkich swych dobrach. W wiekach późniejszych przeszedł na właścicieli ziemi i lasów, i to oni, w tym W. Zamoyski, byli w pewnym sensie jego spad-

<sup>7</sup>BK 8518, nlb.

<sup>8</sup>Władysław Bieńkowski, (30 IX 1858 Mszana Dolna – 3 XI 1926 Zazadnia), przez 34 lata leśniczy w dobrach zakopiańskich, autor artykułów w „Sylwaniu” poświęconych gospodarce leśnej w Tatrach.

<sup>9</sup>W. Bieńkowski. *Spór o Morskie Oko. Wspomnienia*, Kórnik-Zakopane 2002, s.30.

kobiercami i kontynuatorami. Możliwości Hrabiego w tym względzie były spore, bowiem w zakopiańskich lasach miał niedźwiedzie.

Do drugiej połowy XIX wieku niedźwiedzie występowały w Karpatach licznie, nie podlegając żadnej ochronie, tępione raczej jako szkodniki. Na Słowacji, jeszcze w początkach XX wieku mieszkańcy wsi, w których sąsiedztwie myśliwy ubił niedźwiedzia, odwdzięczali mu się za uwolnienie ich od groźnego drapieżnika<sup>10</sup>. Na niedźwiedzie tatrzańskie polowali mieszkańcy zarówno Podhala, jak i Spiszu, Liptowa czy Orawy. Także właściciele dóbr zakopiańskich w połowie XIX w., rodzina Homolacsów, polowali na niedźwiedzie intensywnie. Natalia Kicka zapisała w swoich pamiętnikach, że: „polowanie na niedźwiedzie do ulubionych rozrywek młodzieży tej rodziny miało należeć, a tępienie [podkr. M.K.] tych dzikich i szkodliwych zwierząt do zasług obywatelskich w oczach górali”<sup>11</sup>. Po sprzedaży Zakopanego Ludwikowi Eichbornowi, nowy właściciel także intensywnie polował na niedźwiedzie (w organizowanych przez niego polowaniach uczestniczył m.in. H. Sienkiewicz). Po objęciu dóbr zakopiańskich przez Hrabiego, intensywność oficjalnych polowań została mocno ograniczona. Nie oznacza to jednak, że niedźwiedzie nie padały nadal od kul z kłusowniczych strzelb. Nie szkodził już co prawda łowiskom zakopiańskim, głównie ze względu na wiek, najbardziej znany kłusownik-niedźwiedziarz Sabała (zmarł w 1894 r.), który zabił podobno (wg różnych źródeł) od 13 do 23 niedźwiedzi, ale próbowali inni. Józef Stopka-Dziadus, w wyniku kłusowniczego procederu w latach 1906-1928 ubił 9-10 niedźwiedzi, a zakończył tę „karierę” po objęciu funkcji strażnika łowieckiego, powierzonej mu przez Fundację „Zakłady Kórnickie”. Po przejściu dóbr zakopiańskich przez państwo był strażnikiem nadal, aż do śmierci w roku 1951<sup>12</sup>. Nie był to pierwszy ani jedyny przypadek, gdy góralski „polowac” zostawał strażnikiem, wystarczy wspomnieć Macieja Gąsienicę Sieczkę i Jędrzeja Wałę, znanych tępicielei kozic, którzy po wejściu w życie ustawy o ich ochronie (1869) zostali członkami straży nadzorującej jej przestrzeganie i swą służbową przysięgę traktowali bardzo poważnie. Naturalnie bywały też sytuacje odwrotne, gdy strażnicy leśni W. Zamoyskiego ścigali obcych kłusowników, a jednocześnie sobie i krewnym, czy bliskim kompanom, pozwalali na wiele. Do kwestii tej jeszcze wrócimy w części dotyczącej przypadków kłusownictwa. Niedźwiedzie zaś, mimo iż tępione, cieszyły się wśród górali (ale także w innych miejscach swego występowania) groźną sławą i swoistym szacunkiem. Działo się tak zapewne w wyniku istnienia mieszanki faktów, przesądów, wyobrażeń na ich temat, co w połą-

<sup>10</sup> R. Kiersnowski. *Niedźwiedzie i ludzie w dawnych i nowszych czasach*, Warszawa 1990. s.104.

<sup>11</sup> N. Kicka, *Pamiętniki*, Warszawa 1972, s. 596.

<sup>12</sup> F. Zięba. T. *Zwijacz Kozica*. op. cit., s.26.

czeniu z umiejętnością przyjmowania postawy pionowej, poruszania się na dwóch łapach i pozostawiania tropów do złudzenia przypominających kształt stopy ludzkiej, prowadziło do swoistej antropomorfizacji wizerunku niedźwiedzia. W polskim języku łowieckim głos niedźwiedzia nazywany jest wprost „mową”<sup>13</sup>, ale także w ogólnej polszczyźnie, jak pisze w swej pracy *Łowy, łowcy i zwierzyzna w przysłowiaach polskich* prof. Władysław Dynak, zwany jest „[...] barkotaniem, markotaniem, mamrzeniem, mamroczeniem, mruzeniem, a więc określeniami odnoszonymi również do mowy ludzkiej [...]”. Nic ma zatem nic dziwnego w tym, że „polowace” nie wymieniali nazwy gatunkowej zwierzęcia, jako swoistego tabu, lecz mówili o niedźwiedziu „on”. Coś z tej aury musiało udzielić się także Hrabiemu, bowiem w zbiorach grafiki Biblioteki Kórnickiej znajduje się swoista „karta ewidencyjna”<sup>14</sup> jednego z tatrzańskich niedźwiedzi wraz z krótkim opisem jego historii, sporządzona własnoręcznie przez W. Zamoyskiego. Na sporym kartonie (zob. ilustracja) namalowano olejną farbą dwa portrety oraz szkic niedźwiadka, a z prawej strony Hrabia opisał jego losy. Tekst dopisywany był dwukrotnie, w odstępie dwóch lat i roku, co świadczy, że W. Zamoyski zainteresowany był tym, co dzieje się z niedźwiedziem. Po inicjałach Hrabiego „WZ”, którymi często sygnował korespondencję i dacie „wrzesień 1895” tekst brzmi następująco:

Schwytany przez Nędzę przy pomocy Dziadonia, Wojtanka i Michalaka [?!] na Rusinowej Jaworzynie, darowany panu Tadeuszowi Czarkowskiemu na kilka dni przed jego wyborem na posła nowotarskiego.

Następny fragment tekstu, dopisany innym atramentem, jest o dwa lata późniejszy:

Darowany przez niego Gminie Miasta Lwowa – trzymany czas jakiś na podwórzu ratusza lwowskiego, później w parku Stryjskim. Obecnie 1897 wyrósł ogromnie i wygodny pędzi żywot w ogrodzie X. Kardynała Sembratowicza<sup>15</sup> u Św. Jura we Lwowie.

Ostatnia część zapisu dotyczy smutnego końca niedźwiedzia w roku 1898:

---

<sup>13</sup>Zob.: J. Dunin Borkowski. *O polskim języku łowieckim i o świecie łowieckim*, [w:] *Prace literackie*, Wiedeń 1838; *Łowca. Kalendarz myśliwski i rybacki na rok 1884*, Lwów 1884; S. Hoppe w *Polskim języku łowieckim* wspomina co prawda jedynie o „ryku” i „pomruku”, ale praca była wydana w roku 1980. kiedy terminologia dotycząca niedźwiedzia od kilkudziesięciu lat nie była już w praktyce stosowana.

<sup>14</sup> BO.IX.224.

<sup>15</sup> Sylwester Sembratowicz (3 IX 1836 Desznica-4 VIII 1898 Lwów), kardynał, greckokatolicki metropolita Lwowa.

Po śmierci kardynała Iwowski notaryusz kazał go zabić, by masa spadkowa nie potrzebowała go żywić – sprzedać nie pozwolono.

Nie jest zatem wykluczone, że Hrabia próbował odkupić niedźwiedzia, co jednak wskutek „krwiożerczości” notariusza, nie doszło do skutku. Ciekawe jest czy w ten sam sposób ów urzędnik potraktował resztę inwentarza kardynała S. Sembratowicza, który prywatnie był zapalonym hodowcą królików (posiadał podobno 150 różnych gatunków) i koni. Wymienieni na początku zapisków Zamoyskiego górale pracowali w służbie leśnej dóbr zakopiańskich, a Rusinowa Jaworzyna to inaczej Rusinowa Polana zwana także Rusinką, rozległy teren położony między Gęsią Szyją a Gołym Wierchem, nad Doliną Białki.

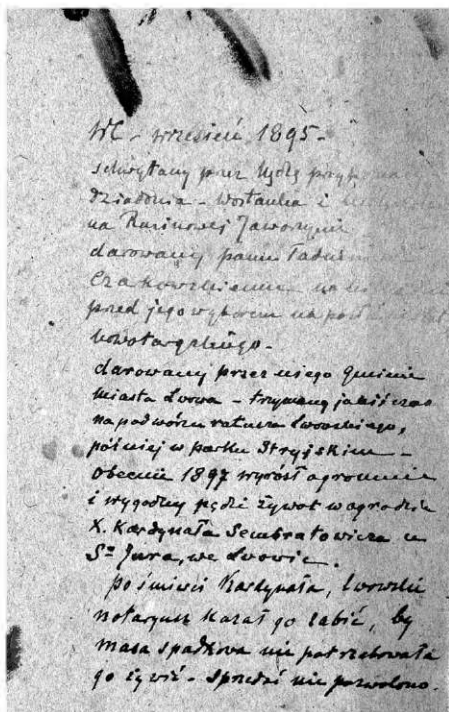
Chętnych do polowania, zwłaszcza przy postępującym spadku liczby niedźwiedzi, było zawsze sporo. Ponieważ jednak Hrabia, który traktował zwierzynę jako oczywisty składnik lasu, element polskiej przyrody (co godne jest pochwały), nie zamierzał, w przeciwieństwie do swego sąsiada z Jaworzyny, ks. Hohenlohe, ponosić szczególnych nakładów na podnoszenie jej stanów i organizację prestiżowych polowań, te ostatnie odbywały się wówczas, kiedy do ich uczestników W. Zamoyski miał jakiś konkretny interes. Wówczas można było liczyć na zaproszenie i pomoc ze strony służby leśnej dóbr zakopiańskich. Jednym z takich gości był dr Jan Zduń z Raby Wyżniej, przez czas jakiś prezes Rady Nadzorczej Towarzystwa Rolniczo-Zaliczkowego w Nowym Targu<sup>16</sup>, uznawany przez Franciszka Bujaka za jednego z wzorowych gospodarzy w Galicji zachodniej. Zduń prowadził „gospodarstwo alpejskie”<sup>17</sup>, Zarząd Dóbr kupował u niego duże ilości ziemniaków, kapusty, buraków ćwikłowych, a przez jakiś czas, na potrzeby szynków, także różne gatunki wódek z jego „Fabryki wódek zdrowotnych”. Musiał być przydatny Hrabiemu, bowiem kiedy 28 października 1900 r. w liście do Kazimierza Edwarda Winiarskiego, do roku 1904 dyrektora zarządu dóbr zakopiańskich, napisał: „Przede wszystkim serdecznie dziękuję za łaskawą sposobność polowania na niedźwiedzia, jak również za obietnicę dalszego zaproszenia na niedźwiedzia [podkr. M.K.]”<sup>18</sup>, to z tej obietnicy chciano się rzetelnie wywiązać. Służba leśna otrzymała polecenie otropienia niedźwiedzia, choć ze względu na wysoki śnieg było to trudne. Leśniczy W. Bieńkowski, po ok. 2 tygodniach (16.XI) napisał do Zarządu: „O niedźwiedziu nic nie wiem, tropić trudno bardzo”<sup>19</sup>. Czy dr Zduń miał ponownie sposobność zapolowania na niedźwiedzia – nie wiadomo, że go jednak nie strzelił – jest raczej pewne. Był to bowiem myśliwy, dla

<sup>16</sup> BK 7720, nlb.

<sup>17</sup> F. Bujak, *Galicja*, T I, Lwów 1908, s. 170.

<sup>18</sup> BK 8071/2, k. 495.

<sup>19</sup> BK 8071/1, k. 48-49.



1. Tempera autorstwa W. Zamoyskiego(?)  
 z jego odręcznymi notatkami.  
 Ze zbiorów BK PAN sygn. BO 224

2. Stanisław Barabasz z niedźwiedzią  
 strzeloną na Zasadniej ( fot. Antoni  
 Święch[?]). Ze zbiorów W. Siarzewskiego

którego polowanie bez ubicia zwierzyny nie miało zwykłego uroku. Opinia ta znajdzie swe wyjaśnienie we fragmencie dotyczącym polowań na głuszce. W każdym razie na polowania, na których pokot<sup>20</sup> był wątpliwy, dr Zduń zaproszeń nie przyjmował, co więcej, nie krył do nich niechęci. Po wspomnianym wyżej liście z podziękowaniem otrzymał od K.E. Winiarskiego zaproszenie na polowanie do Gronkowa. Był to teren nie wchodzący już w obszar dóbr zakopiańskich, ale Zarząd wydzierżawił na nim prawo polowania. Czyniono tak zresztą często, starając się z obszarów polowań gminnych czy enklaw wcinających się w powierzchnię dóbr, stworzyć swoisty „pas ochronny” dla zwierzyny bytującej na terenach Hrabiego. Niewiele można było tam upolować, z rzadka dzika, sarnę, zającą. Potwierdza to informacja przekazana przez W. Bieńkowskiego do Zarządu w dniu 25 stycznia 1900 r.:

Wczoraj byłem w Gronkowie umyślnie, aby to polowanie zobaczyć [...] Dlatego też panowie z Nowego Targu to tak łatwo puścili, utrzymując Groń tylko, wiedząc, że my z dwóch boków t.j. od Gronkowa i Leśnicy zwierzynę im hodować będziemy<sup>21</sup>.

Polowania organizowano raczej po to, by pokazać, że teren wchodzi w jurysdykcję łowiecką Zarządu Dóbr. Dr Zduń odpowiedział na zaproszenie, że: „polowania takiej wielkiej przyjemności dla mnie nie przedstawiają, niech tedy już zostaną polowaniem oficjalnie urzędowym”<sup>22</sup>. Toteż kiedy 30 października 1900 r. leśniczy z Kościeliska doniósł do Zarządu, że niedźwiedź przeszedł od „komin” [tak w rękopisie] pod Kończystą<sup>23</sup> i że wysłał leśnych, aby go otropić – dra Zduń nie zawiadomiono, być może było na to za mało czasu. Zorganizowanie polowania jest raczej pewne, bowiem przekazujący do Zarządu Dóbr wiadomość Rajmund Goebel napisał: „Jeżeli Panowie macie gust go zobaczyć to proszę przybyć i przywieźć dla mnie jaki sztuciec [broń kulową]. Czekam na Was do godz. 1-szej po południu”<sup>24</sup>. Nie ma żadnego dowodu, by niedźwiedź stracił przy tej okazji życie, nie wiadomo także, czy doszło chociażby do spotkania z nim.

<sup>20</sup> W języku łowieckim ubita zwierzyna, ułożona na zakończenie polowania według określonych ściśle prawideł.

<sup>21</sup> BK 8072/1, k. 64-65.

<sup>22</sup> BK 8071/2, k.499.

<sup>23</sup> Trudno na podstawie tego zapisu określić dokładnie miejsce w którym znaleziono tropy niedźwiedzia, ale biorąc pod uwagę, że R. Goebel był leśniczym rewiru Kościeliska, zwierz mógł przemieszczać się od hali Kominy Tylkowe, często zwanej w skrócie Kominy, w kierunku Kończystej Turni, w dolnej części Doliny Miętusiej. Należy raczej wykluczyć, że przemieszczał się w kierunku Kończystego Wierchu nad Jarząbczą (Kończystej nad Jarząbczą), bowiem jeśli panowie z Zarządu mieli być w Kościelisku ok. godz. 13, to nie było mowy, by w końcu października zdążyli dotrzeć tak daleko przed zmrokiem.

<sup>24</sup> BK 8081/2, k. 359.



Mniej szczęścia miała natomiast sztuka, która spotkała Stanisława Barabasz<sup>25</sup> w okolicy Zazadnicj w roku 1904. Sam myśliwy po raz pierwszy zwracał się z prośbą o pozwolenie na polowanie w roku 1900, kiedy to 22 sierpnia, na złożonym w Zarządzie Dóbr bilecie wizytowym napisał, iż prosi o pozwolenie polowania na stokach Furmanowej i Gubałówki „wyłącznie na wrony, sroki i wiewiórki”. Ponieważ S. Barabasz był myśliwym rzetelnym i prawym, a dodatkowo już od następnego (1901) roku jego pozycja w Zakopanem, jako Dyrektora Szkoły Przemysłu Drzewnego, niepomocnie wzrosła, mógł liczyć na stałe zezwolenie polowania na terenie dóbr zakopiańskich, co więcej, o jego pasji pamiętał sam Hrabia jak wynika z listu Wincentego Szymborskiego<sup>26</sup> z dnia 4 października 1913 r.:

Z polecenia JW Pana Zamoyskiego przesyłam W. Panu Dyrektorowi asygnatę na zastrzelenie rogacza w rewirze kościeliskim lub zakopiańskim. Co do rewiru bukowińskiego, to Zarząd Dóbr poczynił już zobowiązania względem innych myśliwych, którzy pozakładali odpowiednie zadatki, zastrzegając sobie pierwszeństwo<sup>27</sup>.

Dyrektor dodał jednak, że kiedy Zarząd urzędzi „większe polowanie”, nie zaniechaj go zaprosić. S. Barabasz miał prawdopodobnie stałe zezwolenie na odstrzał niektórych gatunków, bowiem kiedy 27 sierpnia 1904 r. strzelił wspomnianego wyżej niedźwiedzia, napisał do W. Szymborskiego prosząc by Hrabia pozostawił niedźwiedzia do jego własnej dyspozycji. Zaraz po dokonaniu odstrzału był w Kuźnicach, ale nie zastał Zamoyskiego, stąd jego prośba do Zarządu. Jak wynika z listu, S. Barabasz przysłał też „załącznik”:

W załączeniu przesyłam na ręce Pańskie połędwicę z tego niedźwiedzia, ażeby Panowie zechcieli skosztować tego przysmaku. Cały niedźwiedź ważył 205 kg.

Łączę wyrazy rzetelnego poważania  
z jakim pozostaję  
Stanisław Barabasz<sup>28</sup>

Chcąc jednak być w porządku wobec właściciela łowiska i nie narażać się na brak zaproszeń w przyszłości, 10 września ponowił swoją prośbę, kierując ją bezpośrednio do Hrabiego:

---

<sup>25</sup> Stanisław Barabasz (7 V 1857 – 23 X 1949), malarz, architekt, pedagog, narciarz, myśliwy. W latach 1901–22 dyrektor Szkoły Przemysłu Drzewnego w Zakopanem.

<sup>26</sup> Wincenty Szymborski (15 IV 1870–9 IX 1936), w l. 1904–1922 dyrektor Zarządu Dóbr zakopiańskich, w l. 1923–24 – w Kómiku. Ojciec Wisławy.

<sup>27</sup> BK 8086. k. 344.

<sup>28</sup> BK 8081/1. k. 33.

Jaśnie Wielmożny Panie Hrabio!

Jak zapewne JWPanu wiadomo zabiłem w dniu 27/8 na Zazadniej przypadkowo niedźwiedzia. Po powrocie stamtąd byłem w Kuźnicach, ażeby prosić JWPana o łaskawe pozostawienie mi go do mej dyspozycji, lecz niestety nie zastałem Go. Powiedziano mi, że JWPan dopiero po kilkunastu dniach wróci. Ponawiam więc moją prośbę listownie, dodając, że skóra już obciążnięta i dostanie się prawdopodobnie do Muzeum Tatrzańkiego, gdyż niektórzy Panowie z Wydziału Towarzystwa prosili o nią<sup>29</sup>.

Do kogo trafiła skóra, nie udało się ustalić, natomiast do zbiorów Muzeum Tatrzańkiego trafiła czaszka tej niedźwiedzicy, bowiem była to samica, która ze wszystkich zważonych dotychczas samic tatrzańskich miała najwyższą wagę<sup>30</sup>. W zbiorach Muzeum jest także czaszka dzika-odyńca zastrzelonego przez S. Barabasa w sierpniu roku 1905. Z opisu akcesyjnego wynika, że dzik był strzelony w okolicach Wysokiej. Wydaje się raczej mało prawdopodobne, zarówno ze względów topograficznych, jak i przyrodniczych, by chodziło o szczyt na słowackiej (wówczas węgierskiej) stronie. Z korespondencji W. Bieńkowskiego z Zarządem Dóbr wynika, że S. Barabasz mieszkał w tym czasie na Brzanówce. Zwrócił się do W. Bieńkowskiego z prośbą o „przyjęcie na kurację, jest bowiem zdenerwowany, drażni go całe Zakopane, a nawet własny dom”. Zaraz po przybyciu leśniczy poinformował S. Barabasa, że rogaczy w tym sezonie strzelać nie można i nie pytał go nawet o jakiegokolwiek pozwolenie na polowanie, tym bardziej, że gość „strzelby też przez kilka dni nie wyjmował wcale, chodził po lesie tylko z lornetką”. W czasie jednego ze spacerów usłyszał żerującego dzika. Następnego dnia przed świtem wybrał się w to miejsce (w służbowej korespondencji W. Bieńkowski kilkakrotnie wymienia oddział Wysoka, gdzieś w sąsiedztwie Brzanówki)), bez powiadamiania W. Bieńkowskiego i dzika zastrzelił. Otrzymał po powrocie odpowiednią reprimendę, choć leśniczy pamiętał wcześniejsze przyzwolenie Hrabiego na polowania S. Barabasa:

Wiedziałem wprawdzie, że w r. 1901 JWPan Hrabia w obecności Pana Wińskiego, gdyśmy wszyscy wieczorem z polowania na słonki wrócili do domu, pozwolił mu polować na szkodniki, uważałem to jednak za przestarzałe i co najmniej byłbym kogoś z nim wysłał. Przypuszczam, że mnie należycie zrozumiał i nie będzie chciał drugi raz się na odpowiedzialność narażać [...]<sup>31</sup>.

Dzik trafił do Zarządu, a raczej do kuchni Szkoły p. Generałowej, a łeb na prośbę S. Barabasa pozostawiono w jego dyspozycji, uznając wielkodusznie

---

<sup>29</sup> BK 8081/1, k. 34.

<sup>30</sup> F. Zięba, T. Zwijacz Kozica, op. cit., s. 41.

<sup>31</sup> BK 8082/1, k. 143.

całe zdarzenie za nieporozumienie. Cytowany list jest cenny także dlatego, że niedwuznacznie wynika z niego, iż Hrabia uczestniczył w polowaniu na słonki. Jest to polowanie bardzo szczególne, przeznaczone dla myśliwych-romantyków, a nie dla „mięsiarzy”. Jego największym walorem nie jest liczba pozyskanej zwierzyny, lecz kontakt z wiosenną, budzącą się do życia przyrodą. Może to zatem sugerować, że W. Zamoyski polował wprawdzie rzadko, ale też szukał w łowiectwie innych, niż większość myśliwych, wrażeń.

W tym samym roku, w listopadzie, W. Bieńkowski doniósł bezpośrednio W. Szymborskiemu, że w Dolinie Roztoki znał starego i młodego niedźwiedzia, które poszły 16 listopada w kierunku Wołoszyna i nie wróciły jeszcze w dolinę, poza tym padający śnieg utrudniał tropienie. Proponował zatem następujące rozwiązanie:

Jutro niedziela, toteż dziś nie szukać nie kazałem aby nie ploszyć, za to jutro pójdą wszyscy, a jeśli rezultat będzie pomyślny, zaraz po południu doniosę Ci, posłaniec może zdążyć około 4.tej po południu. Równocześnie kazałbym nagonkę szukać, a w poniedziałek zapolowalibyśmy – chyba, że ten dzień Tobie nie odpowiada, to o decyzję proszę [podkr. M. K.]<sup>32</sup>

Zabiegi te – jak i wspomniane wyżej polowanie na słonki – przeczą (biorąc się z opinii S. Barabasa z roku 1923) twierdzeniom, że Zarząd nie zezwalał na polowania swym pracownikom. Do planowanego polowania co prawda nie doszło, ale przyczyną był wiatr halny, który następnego dnia po liście W. Bieńkowskiego (t. j. 19 listopada) „wyłamał i wywalił z korzeniami”<sup>33</sup> około 15 000 świerków w rewirze bukowińskim, niszcząc głównie oddziały Łysa i Brzanówka. Nie było zatem czasu na polowanie, kiedy na wyróbkę i wywóz czekało tyle drewna. Kolejne potwierdzenie, że personel hr. Zamoyskiego polował, znaleźć można w korespondencji R. Goebła z 11 grudnia 1905 r., który dziękując W. Szymborskiemu za zaproszenie na polowanie pisał: „czy będę mógł korzystać, nie wiem jeszcze, wczoraj chodziłem za wydrą, a przechodząc przez rzekę przewaliłem się jak długi do wody, a że miałem z pół mili iść do domu, więc przez drogę trochę zmarzłem”<sup>34</sup>. Proszony był zatem na polowanie zbiorowe, ale polował także indywidualnie. To, że akurat na wydrę (żywiącą się głównie rybami) nie dziwi, bowiem w Kościelisku umieszczona była wylęgarnia pstrągów. W. Zamoyski dzierżawił kilka rewirów rybackich i starał się o to, by w tatrańskich rzekach i potokach ryby nie były rzadkością. Ponoślił w tym celu

<sup>32</sup> BK 8082/1, k. 154.

<sup>33</sup> BK 8082/1, k. 155.

<sup>34</sup> BK 8082/2, k. 421.

spore nakłady, ale to temat na osobny artykuł. Personel W. Zamoyskiego nie polował jedynie na głuszce, jelenie-byki i sarny-rogacze. Pozostała zwierzyna, zwłaszcza drapieżniki, nie podlegała temu rygorowi (znajdujący się w Muzeum Tatrzańskim wypchany ryś, był strzelony 6 kwietnia 1899 r. przez leśniczego Dóbr Zakopiańskich – Drożdzika). Radzono sobie także bez myśliwych z zewnątrz wówczas, kiedy nie można było zagwarantować sukcesu, a polowanie było nieodzowne:

Polowanie na dziki proszę postanowić na piątek, o ile to możliwe, bo szkód przybywa [na chłopskich polach]. Proszę jednak myśliwych ograniczyć tylko do swoich Panów, dziki bowiem są co dzień w innym miejscu, zatem rezultat niepewny<sup>35</sup>.

W kolejnych latach liczba niedźwiedzi stale malała, toteż informacje na ich temat są rzadsze. Kolejne pochodzą z roku 1906, kiedy to w połowie października matka Hrabiego, generałowa Jadwiga Zamoyska, w liście do syna zawiadomiła go o prośbie dyrektora nowo otwartego gimnazjum w Nowym Targu Kazimierza Krotowskiego<sup>36</sup>:

P. Krotowski układa przy gymnazjum Muzeum Tatrzańskie i prosi, żebyś pozwolił upolować niedźwiedzia. Utrzymuje, że ich jest trzy na Twojem terytorium. Kaz[imierz] Lub[omirski] miał tu przyjechać dla spraw granicznych z chłopami[...]. Czy można jego namówić do polowania na niedźwiedzia? On podobno za tem przepada. Przez on, rozumie się Kazimierz, nie niedźwiedź.<sup>37</sup>

Jeśli nawet polowanie to się odbyło, to nie zostało uwieńczone sukcesem, bowiem niemal dokładnie w siedem lat później, w październiku 1913 r. Jan Krzeptowski prosił W. Zamoyskiego o zgodę na wytopienie i upolowanie niedźwiedzia dla dyrektora K. Krotowskiego z Nowego Targu<sup>38</sup>. Charakterystyczne jest jednak, że już w 1906 r. oceniano liczbę niedźwiedzi na terenie zakopiańskich dóbr Hrabiego, liczących ponad 5000 ha lasu, jedynie na trzy sztuki. Jeszcze w tym samym roku K. E. Winiarski, którego Hrabia pozbył się już z Zakopanego i który zajmował się sprawami Browaru w Tenczynku, próbował przez J. Zamoyską wpłynąć na jej syna, by zorganizował polowanie na niedźwiedzia. Pisał pod koniec października:

<sup>35</sup> BK 8087, k. 69.

<sup>36</sup> Kazimierz Krotowski (11 VIII 1860 Zbąszyń-15 II 1937 Poznań), historyk, pedagog, publicysta.

<sup>37</sup> BK 7592, k. 385.

<sup>38</sup> BK 8085/2, k. 523.

Hr. Starzeńskiemu<sup>39</sup>, który mnie wszędzie podpiera chciałbym sprawić przyjemność, dlatego proszę o danie polecenia, gdy pierwsze śniegi spadną p. Szymborskiemu, by otropiono niedźwiedzia i na polowanie zaproszono go telegraficznie! Nam to nic zrobi różnicy, a taką rzeczą zjednywamy sobie ludzi!<sup>40</sup>.

Ponieważ nie miał odpowiedzi, kilka dni później napisał do W. Zamoyskiego do Paryża w tej samej sprawie. Zaproszenie jednak nie nastąpiło z dwóch, jak można przypuszczać powodów. Po pierwsze Hrabia, który bardzo niezdeterminowanie rozstawał się ze swymi współpracownikami, nawet wówczas gdy się na nich zawiódł, miał już dość współpracy z Winiarskim. Ostatecznie rozstał się z nim w roku 1908 w atmosferze podejrzeń o defraudację. Po drugie, dwa lata wcześniej w roku 1904, hrabia E. Starzeński, który spędzał często lato w Zakopanem i przy okazji wymuszał zaproszenia na polowanie – był negatywnym bohaterem aktu kłusownictwa tak nie licującego z jego społeczną i zawodową pozycją (był starostą w Podgórzu pod Krakowem), że jeszcze niemal 20 lat później, w pierwszym roczniku „Wierchów”, S. Barabasz w artykule *Kłusownicy i zwierzyzna w Tatrach* wspomina „[...] hrabiego S, który uszczęśliwiał nasze góry swymi wyprawami na kozy, tak po naszej, jak i po węgierskiej stronie [...]”<sup>41</sup>. W obu przypadkach było to kłusownictwo, z tym, że po stronie galicyjskiej dodatkowo hr. Starzeński łamał obowiązującą od 1869 roku ustawę o całkowitej ochronie kozic. Wspominany już leśniczy z rewiru Kościelisko, R. Goebel, donosił 11 sierpnia 1904 r. W. Szymborskiemu:

Niniejszym zawiadamiam, iż w niedzielę dn. 7 b.m. hr. Starzeński będąc na polowaniu pod „Gewontem” przyniósł z powrotem skórę i rogi z kozicy, którą, jak się wyraził, ściągnął z zastrzelonej sztuki przez kłusownika. Skóra znajduje się dotąd w leśniarce u Olszowskiego. Ponieważ chciałbym tę sprawę oddać do sądu, względnie c.k. żandarmeryi do wysledzenia sprawcy, dlatego proszę by Szanowny Zarząd raczył poprosić hr. Starzeńskiego o bliższe wyjaśnienie względnie wskazówki, które ułatwiłyby odszukanie kłusownika[...]<sup>42</sup>.

Dochodzenie urzędowe nie zostało wdrożone, ale leśniczy Goebel musiał dążyć sprawę, mimo, że zarówno on, jak i Zarząd Dóbr od początku wiedzieli, kto tak naprawdę jest autorem tego łowieckiego „sukcesu”. Po dwóch tygodniach do Zarządu trafiło kolejne pismo od R. Goebela w którym napisał:

<sup>39</sup> Edward Starzeński (1855-1909), naturalny syn Kazimierza i Marii Smorągiewiczówny, uznany przez ojca w przeddzień śmierci, 21 XI 1877. Jako urodzony przed ślubem rodziców – nie miał prawa do tytułu hrabiowskiego.

<sup>40</sup>BK 8504, nlb.

<sup>41</sup>„Wierchy”, rocznik pierwszy, Lwów 1923, s. 163.

<sup>42</sup>BK 8081/2, k. 342.

Posyłam przez leśnego Olszowskiego skórę z kozicy zastrzelonej przez hr. Starzeńskiego – nie jak to w piśmie z dnia 11.8 donosiłem. Kozicę zastrzelił hr. Starzeński – zabrał z niej skórę, rogi i część mięsa do torby turystowskiej [!], a resztę mięsa kazał sobie zabrać leśnemu Olszowskiemu, który tego jednak nie uczynił. P. hr. Starzeński obecnie przyznaje, że kozicę tę zastrzelił – był jednak bardzo poirytowany, na co leśny meldował to swemu leśniczemu. Skóra z kozicy wskazuje, iż dano do tej sztuki tylko jeden strzał, a wobec przyznania się hr. Starzeńskiego do zabicia tej sztuki – jest stanowczo wykluczonem – aby takową postrzelono przez innego kłusownika [...]<sup>43</sup>.

Czy ujawnienie tego przypadku kłusownictwa wpłynęło na zachowanie E. Starzeńskiego? Niestety nie. Jak był, tak pozostał „strzelaczem”, dla którego nie było ważne co, gdzie, kiedy i w jaki sposób – byleby zabić cokolwiek. Co więcej, był człowiekiem na tyle beczelnym i pełnym tupetu, że nadal uważał za stosowne domagać się pozwoleń na polowanie w trakcie swoich pobytów w Zakopanem. Ponieważ jednak W. Szymborski nałożył pewne ograniczenia na hrabiego-kłusownika, przeto ten szukał protekcji i Winiarskiego i dra Tadeusza Bednarskiego, adwokata, z którym W. Zamoyski współpracował dość blisko, a czasami, w jego mieszkaniu przy ul. Wiślniej 3, zatrzymywał się w czasie swych pobytów w Krakowie. T. Bednarski, mocno widać naciskany przez Starzeńskiego – a przeczuwający, że Hrabia nie będzie przychylny jego natrętnym żądaniom – na początku czerwca 1905 r. sugerował wprost W. Szymborskiemu, by sam podjął korzystną dla jego protegowanego decyzję i nie zawiadamiał o niej W. Zamoyskiego, „któremu nie powinniśmy głowy zawracać tutejszymi sprawami”<sup>44</sup>. W. Szymborski jednak zbyt dobrze znał Hrabiego, by w kwestiach – co do których pozytywnego załatwienia wyczuwał wyraźną niechęć swego pracodawcy – podejmował decyzje sprzeczne z jego intencjami. Musiał o tym wiedzieć hr. Starzeński, bowiem T. Bednarski we wspomnianej korespondencji z W. Szymborskim podkreślił, że „pragnie on obecnie traktować czysto po kupiecku tę sprawę – możeby zatem Łaskawy Pan rozpatrzył jego ofertę i zechciał łaskawie rozważyć czyby się nie dało znaleźć jakiego punktu wyjścia”. Sformułowanie „czysto po kupiecku” podkreślono w Zarządzie czerwoną kredką, jakby na znak oburzenia. W zestawieniu z sugestią T. Bednarskiego, by próbować znaleźć jakieś rozwiązanie, pozwala to przypuszczać, że hr. Starzeński, od sierpniowego kłusownictwa z 1904 r. miał zamknięty wstęp do zakopiańskich łowisk, bez wątpienia za wiedzą Hrabiego. Dziesięć dni później, już sam Bednarski, w typowy dla adwokata sposób (po negatywnej odpowiedzi z Zarządu) konsultując sposób odpo-

<sup>43</sup>BK 8081/2. k. 345.

<sup>44</sup>BK 8082/1. k. 77.

wiedzi dla Starzeńskiego pisał, że W. Szymborski ma rację, nie zgadzając się na wysyłanie do Zarządu oferty na zakup odstrzału rogaczy (saren-kozłów) i na to, by tak ważną sprawę załatwiać „bez wiedzy i przyzwolenia p. hr. Zamoyskiego”<sup>45</sup>. Było to rozwiązanie wygodne także dla niego, liczył bowiem na to, że uwolni się w ten sposób od nacisków Starzeńskiego:

[...] jeśli tylko WPan na ten sposób załatwienia się godzi, wówczas odpiszę hr. Starzeńskiemu, że Panowie bez wiedzy P. hr. Zamoyskiego sprawy załatwić nie mogą, a P. hr. Zamoyski wyjechał na kurację i ja skomunikować się z nim nie mogę [...]<sup>46</sup>

Nie docenili jednak p.p. Bednarski i Szymborski natręctwa hr. Starzeńskiego i jego, bez uciekania się do eufemizmów, braku ambicji i poczucia godności. Po otrzymaniu bowiem odpowiedzi od T. Bednarskiego, wysłał do niego swego znajomego z natarczywą prośbą, by „przecież jeszcze raz próbować coś dla niego zrobić, że jemu tak niesłuchanie przykra ta cała historia, bo żona jego jedzie do Zakopanego, a on jechać by nie mógł [tzn. nie mógłby polować]”<sup>47</sup>. Swoiste zatem poczucie honoru posiadał hr. Starzeński skoro „cała historia” była dla niego przykra wyłącznie z braku pozwolenia na polowanie, a nie jego wcześniejszego kłusownictwa. Było to o tyle groźne, że jak pisze we wspomnianym artykule w „Wierchach” S. Barabasz, pomocnikami hr. S w jego „myśliwskich” wyprawach byli znani kłusownicy z Kościelisk – Kuba i Jasioł Bukowscy „dla których widocznie do szczególnej poczuwał się wdzięczności, skoro Jaśkowi podarował piękną lankastrówkę [...]”<sup>48</sup>. Sam kłusując, utwierdzał ich w przekonaniu, iż oni także niczego złego nie robią. W każdym razie, po owej wizycie znajomego hr. Starzeńskiego, T. Bednarski po raz kolejny zmienił zdanie i ponownie wsparł ofertę swego protegowanego, który chciał odstrzelić w rewirze kościeliskim 15 rogaczy „za pewnym wynagrodzeniem”. Wykazał się przy tym, jako adwokat, sporą naiwnością przypuszczając „[...] że jeżeli się liczbę rogaczy ustrzelić się mających ściśle określi, to nie będzie żadnych przykrości”<sup>49</sup>. W przypadku innego myśliwego pewnie tak, ale nie w tym. Toteż W. Szymborski, dzień po otrzymaniu listu, napisał bezpośrednio do W. Zamoyskiego informując, że oferta hr. Starzeńskiego „jest śmiesznie niską”<sup>50</sup>. Co do tej opinii nie można mieć żadnych wątpliwości, bowiem propozycja E. Starzeńskiego polegała na tym, że oferent

<sup>45</sup> BK 8082/1, k. 78.

<sup>46</sup> BK 8082/1, k. 78.

<sup>47</sup> BK 8082/1, k. 79.

<sup>48</sup> S. Barabasz. op. cit., s. 163.

<sup>49</sup> BK 8082/1, k. 79.

<sup>50</sup> BK 8076, nlb.

zamierzał odstrzelić w Kościeliskach 15 rogaczy, płacąc po 20 koron za sztukę. Po pierwsze inni myśliwi gotowi byli zapłacić do 50 koron za sztukę ( parę lat później Zarząd umieszczał ogłoszenia na łamach lwowskiego „Łowca” o możliwości odstrzału rogaczy w Zakopanem za 60-80 koron<sup>51</sup> ). Po drugie, W. Szymborski miał niezłe pojęcie o gospodarce łowieckiej (co doceniło Galicyjskie Towarzystwo Łowieckie, czyniąc go swoim delegatem na powiat Nowy Targ), toteż wiedział on, że po ciężkiej zimie 1904/1905 odstrzelenie 15 rogaczy byłoby szkodliwe. Proponował zatem Hrabieciu, skoro według opinii T. Bednarskiego i K. E. Winiarskiego hr. Starzeński był tak przydatny w interesach, żeby dać mu darmo pozwolenie na ubicie 3 rogaczy i „może 1 jelenia”, ale nie wiązać się z nim żadną umową. Ponieważ żona Starzeńskiego była już w tym czasie w Zakopanem, on sam bardzo niecierpliwił się brakiem odpowiedzi. Aby raz wreszcie sprawę skończyć, W. Szymborski prosił Hrabiego, by on sam udzielił ostatecznej odpowiedzi Starzeńskiemu, nie odmawiając sobie przy tej okazji drobnej, subtelnie znakiem zapytania wyrażonej, złośliwości:

Może JWPan byłby łaskaw napisać wprost do niego, że 15 rogaczy w tym roku zabić nie można, jednak znając jego myśliwską namiętność pozwala mu JWPan na zabicie 3 rogaczy i mnie poleca wystawić osobną asygnatę. Jako dobry (?) myśliwy powinien p. Starzeński sam zauważyć, że więcej zwierzyny wystrzelać w tym roku nie można, o czym wartoby mu nadmienić i dodać, że sam się o tem przekona<sup>52</sup>.

Hrabia prawdopodobnie jeszcze zmniejszył proponowaną przez W. Szymborskiego liczbę rogaczy, a ponieważ ten ostatni miał samodzielnie wystawić asygnatę, zrobił to dopiero – mimo wielkiej niecierpliwości hr. Starzeńskiego – pod koniec lipca t. j. po miesiącu. Dopiero wówczas leśniczy R. Goebel zawiadomił Zarząd, że „w sprawie polowania hr. Starzeńskiego na kozła w rew. kościeliskim wydałem [Janowi] Gronikowskiemu stosownie do życzenia Wgo Pana stosowne zarządzenie”<sup>53</sup>. Brak informacji o strzeleniu rogacza, a pytanie zadane przez R. Goebela 5 września 1905 „czy hr. Starzeński jest jeszcze w Zakopanem?” może sugerować, że życzeniem W. Szymborskiego, ale być może także Hrabiego było, by leśny Gronikowski oprowadził p. Starzeńskiego po rewirze, bez obowiązku jednak pokazywania mu jakiegokolwiek kozła. W każdym razie pan hrabia Edward Starzeński nauczki prawdopodobnie nie zrozumiał, co zdają się sugerować wspomniane już, o rok późniejsze zabiegi Winiarskiego, by go zaprosić na niedźwiedzia, ale przede wszystkim korespondencja skierowana

<sup>51</sup> BK 8086. k. 885.

<sup>52</sup> BK 8076. nlb.

<sup>53</sup> BK 8082/2. k. 413.



do Zarządu Dóbr przez W. Bieńkowskiego na początku sierpnia 1905 r. Otóż hr. Starzeński wyraźnie nieusatysfakcjonowany danymi mu skromnymi możliwościami zaspokojenia jego pasji „strzelacza”, wybrał się ponownie, podobnie jak rok wcześniej, na kłusowniczą wyprawę na kozice. W relacji W. Bieńkowskiego sprawa przedstawiała się następująco. Wystany dla ochrony lasu przed zaprószeniem ognia, dwuosobowy patrol straży leśnej Hrabiego (Aleksander Górski i Kazimierz Pawlikowski) natknął się o godz. 1 w nocy „przy Wodospadach u Budza”<sup>54</sup> na hr. Starzeńskiego, wspomnianego wcześniej dra J. Zdunia (pełniącego wówczas funkcję marszałka powiatowego w Nowym Targu) oraz zatrudnionego u Hrabiego Słowaka Aurelego Blchę. Towarzyszyło im trzech góralskich przewodników. Wymienieni mieli ze sobą dwie upolowane kozice, bowiem na stole leżały haki<sup>55</sup>, a ławy były zabrudzone od mięsa. Ponieważ W. Bieńkowski, nie spodziewając się takiego spotkania, nie dał leśnym żadnych instrukcji – Górski poprzestał na zapewnieniu ze strony A. Blchy, że polowanie odbyło się na węgierskiej stronie, on zaś sam wraca od brata (proboszcza w Lubowli na Spiżu) i spotkał Starzeńskiego i Zdunia przypadkowo. Jego tłumaczenie nie dziwi, bowiem, bez ryzyka popełnienia błędu, można występującego dość często w dokumentach Zarządu Blchę utożsamić z opisanym przez S. Barabasza w „Wierchach” panem Blaszkę, znanym w Zakopanem i okolicy amatorem kłusownictwa. Zdaniem S. Barabasza był to „doskonały myśliwy i znawca zwierzyny, człowiek zdolny, lecz nadzwyczaj lekkomyślny [...] do wszelakich psich figłów gotów każdej chwili”. Jego awanturnicze skłonności wykorzystywał czasami W. Zamoyski. To Blcha zamałowywał na budynku stacyjnym w Nowym Targu niemieckie „Neu Markt”, on także, ze specjalnie zakupionego przez W. Zamoyskiego we Lwowie dalekonośnego karabinka straszył – strzelając od strony Miedzianego – Węgrów budujących schronisko nad Morskim Okiem<sup>56</sup>. Ponieważ brak gotówki występował u A. Blchy chronicznie, potrafił (według S. Barabasza) sprzedać co było pod ręką, nawet „karabinek swojego szefa”. Bardzo prawdopodobne potwierdzenie tej opinii znajduje się w bilansie Dóbr Zakopiańskich za rok 1904, w którym na „rachunku właściciela” figuruje 70 koron „za zgubiony [!] przez Blchę karabinek”<sup>57</sup>. W każdym razie leśniczy Bieńkowski, który na polecenie Zarządu starał się sprawę wyjaśnić, nie osiągnął, jak donosił „wyraźnego

<sup>54</sup> Chodzi zapewne o schronisko w Starej Roztoce (bowiem według relacji spotkani tam przez leśnych gości 4 godziny wcześniej opuścili schronisko przy Pięciu Stawach). Weryfikacji ulec musi zatem zawarta w *Encyklopedii tatrzańskiej* informacja, że Wojciech Budz dzierżawił to schronisko od 1906 roku.

<sup>55</sup> W języku łowieckim rogi kozicy.

<sup>56</sup>H. z Lubomirskich Stanisławowa Gawrońska, *Władysław Zamoyski, Zakopane – Morskie Oko*, Kórnik-Zakopane 2003, s. 52, 56.

<sup>57</sup>BK 8130. nlb.

rezultatu”. Niemniej jednak wersja Błchy nie była prawdziwa, bowiem 10 sierpnia W. Szymborski odebrał list następujący:

Kochany Wicusiu!

Jak już Ci donosiłem panowie ci szli we środę z rana koło schroniska przy M-Oku nie wstępując tam wcale, a do schroniska przy 5.ciu stawach doszli we czwartek około 8.ej wieczór, wypili tam kilka flaszek piwa i następnie odeszli do Wodospadów, gdzie byli już około 12.tej w nocy. Wczoraj przypadkowo idąc do lasu rozgadałem się z jednym przewodnikiem, którego znam dobrze z widzenia, zagadnąłem go to i owo – powiedział, że widział we środę, będąc z gośćmi w okolicy Ciemno-smreczyn na Węg[ierskiej] stronie, wszystkich tych panów wraz z Błchą i trzema przewodnikami tam, na węg[ierskiej] stronie [...]

Twój Bieńkowski <sup>58</sup>

Wielce pomocny Hrabemu w sprawach, w których nie można było używać poważnych pracowników Zarządu, musiał być Błcha, skoro nie spotkały go żadne konsekwencje. Jeśli wierzyć S. Barabaszowi, było to i tak jedno z jego drobniejszych przewinień. Natomiast co do hr. Starzeńskiego w dostępnych dokumentach brak informacji o jakimkolwiek zaproszeniu go na polowanie w Zakopanem po roku 1905. Hrabia W. Zamoyski pozbył się po prostu kłusownika.

O niedźwiedziach w latach późniejszych jest już zdecydowanie mniej informacji. Jeszcze w listopadzie 1908 roku W. Zamoyski otrzymuje list od Powiatowego Inspektora Lasów w Gorlicach – Zdzisława Konopki – z gorącą prośbą o umożliwienie jego znajomemu polowania na niedźwiedzia „w lasach JWP. Hrabiego jeden, jedyny raz [...] bez względu na rezultat”<sup>59</sup>. Jeszcze w październiku 1912 r., w związku z dużymi szkodami jakie czyniły dziki i niedźwiedzie w obrębie gmin i obszarów dworskich Bukowina i Murzasichle (zwłaszcza na gruntach przysiółka Małe Ciche), kierownik starostwa w Nowym Targu, Władysław Grodzicki, wezwał właścicieli tych okręgów myśliwskich (Zarząd Dóbr zakopiańskich dzierżawił tam prawo polowania aż do roku 1919) do „wytępienia szkodników do tygodnia”<sup>60</sup>, w przeciwnym bowiem razie, zgodnie z § 52 ustawy łowieckiej, zarządzi publiczną obławę. Ponieważ zwierzyna przebywała naprzemian w lasach poronińskich i bukowińskich, starania o ograniczenie szkód i jej odstrzał spełzły na niczym. Starostwo zarządziło zatem na dzień 31 października 1912 r. zapowiadaną wcześniej obławę. Zainteresowane gminy, na terenie których występowały szkody, zobowiązane zostały do dostarczenia naganki. Gmina Murzasichle wraz z przysiółkiem Mur – 50 naganiaczy, gmina Bukowina – 20,

<sup>58</sup>BK 8082/1, k. 135.

<sup>59</sup> BK 7669/1, k. 263.

<sup>60</sup> BK 8084/1, k. 185.

Małe Ciche – 15. Naganka miała się zebrać o godz. 8 rano na tzw. Hycakówce w gminie Murzasichle. Za jej prowadzenie odpowiadali strażnicy leśni tych obszarów dworskich, do których należało prawo polowania. F. Zięba i T. Zwijacz Kozica we wspomnianym wcześniej opracowaniu piszą, że co prawda spotkano niedźwiedzicę z piastunem<sup>61</sup>, ale na szczęście dla niedźwiedzi leśniczy i żandarm, na których wyszły – spudłowali. Zdaniem wymienionych autorów było to ostatnie, legalne polowanie na niedźwiedzie w polskich Tatrach<sup>62</sup>. Nadal natomiast trwało kłusownictwo, zwłaszcza w okresie I wojny światowej, kiedy w Tatrach zaroilo się od uzbrojonych dezertersów, a góralscy „polowace” uzyskali dostęp do wojskowej, zdecydowanie skuteczniejszej, niż ich dotychczasowe strzelby, broni. Podobno karabinów wojskowych, różnych systemów, także z lunetami, mieli góralcy mnóstwo. U wymienianego wcześniej, znanego kłusownika-niedźwiedziarza Józefa Stopki-Dziadusia, skonfiskowano – poza dubeltówką – także dwa manlichery oraz duży zapas amunicji<sup>63</sup>. Jeszcze w sierpniu 1918 roku pojawia się w korespondencji W. Bieńkowskiego z Zarządźem informacja o próbie skłusowania niedźwiedzia. Sprawa była o tyle groźna, że mogła się zakończyć śmiercią jednego z leśnych Hrabiego – Kazimierza Pawlikowskiego. Otóż 12 sierpnia Jan Galica z Cichego, na gruntach swej wsi, postrzelił niedźwiedzia, który uszedł do dworskiego lasu. Następnego dnia Galica wraz z żoną i pożyczonym psem szukał niedźwiedzia w dworskim lesie, lecz go nie znalazł. Kiedy W. Bieńkowski się o tym dowiedział, kazał sprowadzić leśnych, po czym prowadzono poszukiwania w czwartek i w piątek przed południem, nadal bez skutku. W piątek zatem K. Pawlikowski poszedł raz jeszcze tylko z psem i wówczas natrafił na młodego niedźwiadka. W relacji W. Bieńkowskiego ta część zdarzenia przebiegała następująco:

Czy chciał może strzelać, czy zrobił jakiś ruch inny – nie wiadomo, dość, że w tej chwili stara wyskoczyła z gąszczu wywracając go na ziemię. Ile razy próbował się podnieść, tyle razy ona starała się go przytrzymać zębami, tem się może tłumaczy, że tyle ran mu zadała. Równocześnie pies jego zaatakował młode, a wówczas stara pobięła do młodych, z czego skorzystał Pawlikowski i uciekł. Prócz ran na głowie, dłoniach i powyżej łokci oraz plecach, ma jedno żebro nadłamane, a ponieważ nie dał sobie ran zaszywać, więc kuracja potrwa może dłużej. Co do Galicy, podam osobno opis wypadku i świadków, bo już zanadto gospodarzy ze strzelbą [...] Nie wiadomo jest dokładnie czy ta niedźwiedzica jest tą postrzeloną przez Galicę, czy może inną<sup>64</sup>.

<sup>61</sup> Pozostający pod opieką matki, młody, roczny niedźwiedź.

<sup>62</sup> F. Zięba, T. Zwijacz Kozica, op. cit., s. 27.

<sup>63</sup> S. Barabasz, op. cit. s. 181.

<sup>64</sup> BK 8087, k. 14.

Interesujący pogląd na temat możliwego tolerowania kłusownictwa przez Hrabiego przedstawia S. Barabasz w artykule zamieszczonym w „Ziemi”. Pisze on mianowicie, powołując się na relacje górali ze służby leśnej W. Zamoyskiego, że kłusowali za wiedzą Zarządu Dóbr, potwierdzając w ten swoisty sposób „akt posiadania” spornego terytorium w czasie procesu z Ch. Hohenlohe:

Leśnym wolno było strzelać sarny i jelenie, górale kłusowali za kozicami, w czym im nie przeszkadzano. Chodziło bowiem o to, aby sąd powiatowy w Nowym Targu ukarał ich za kłusownictwo i przez to wykazał, że sporne terytorium należy do jego jurysdykcji. Podsądni otrzymywali niewielką stosunkowo karę oraz sute wynagrodzenie od Zarządu Dóbr<sup>65</sup>.

S. Barabasz ze szczegółami opisał wyprawę leśnych Budza, Dziadonia i Filka na kozice na Żabie oraz perypetie związane z próbą przywłaszczenia sobie strzelonego przez nich capą przez – niedźwiedzia. Budz z Filkiem odstraszyli go światłem latarki zrobionej ze świeczki włożonej w kapelusz, chwycili capą i uciekli „jaze skole furcały”. Opowiadający S. Barabaszowi tę historię Budz dodał, że „cudował się temu hrabia i doł nom telo duków, kielo rękóm zagarnon, a on nierod darmo dawoł, hej!”. Artykuł napisano w roku 1937, ponad trzydzieści lat od zakończenia sporu o Morskie Oko, toteż relacje jego bohaterów mogły być swoistą konfabulacją. Udział w tym sporze, zwłaszcza niektórych górali, rósł proporcjonalnie do liczby lat upływających od jego zakończenia. Jeśli jednak były prawdziwe, to można mieć wątpliwości, czy przyzwolenie, a nawet zachęta do kłusownictwa, traktowanego jako instrument osiągnięcia określonego celu, nie przynosiło więcej szkody, niż pożytku. Bezsporne jest bowiem, że „mieszało w głowach” pozostałym amatorom zwierzyny, których stosunek do jej własności i tak był dość swobodny. Nie liczyły się bowiem dla kłusowników żadne względy. Mogli zarabiać dzięki Hrabiemu, pracować u niego, a i tak do lasu szli po zwierzynę, jak po swoją własność. Doniesień o przypadkach kłusownictwa jest w dokumentach Zarządu Dóbr sporo, co świadczy z jednej strony o skali zjawiska, z drugiej zaś o trudnościach, na jakie natrafiało jego zwalczanie. Bez szkody jednak dla opisanego całego proceduru można ograniczyć ich prezentację jedynie do kilku dobrze udokumentowanych przykładów. Dnia 24 czerwca 1904 roku leśni dworscy: Jan Gronikowski, Jan Sobczyk, Karol Darowski oraz Marcin Majerczyk (leśny dóbr Jaszczurówka należących do Uznańskich) zaobserwowali dwóch kłusowników, którzy oddali 4 strzały do kozic i saren na węgierskiej stronie, w Jaworowej. Kiedy kłusownicy przeszli na stronę Galicji w rewirze Jaszczurówka, Gronikowski i Sobczyk odebrali im broń – karabin Werndla i dubel-

<sup>65</sup> S. Barabasz, *Władysław hrabia Zamoyski i spór o Morskie Oko*, „Ziemia”, nr 7-8, R. XXVII: 1937. s. 163.



3. Klusownicy w Tatrach z upolowaną kozicą.  
Ze zbiorów Muzeum Tatrzańskiego.

tówkę „Lancaster” wraz z ładunkami, oraz dwie płócienne torby zabrudzone świeżą krwią oraz sierścią kozicy, którą gdzieś po drodze musieli ukryć. Kłusownikami byli Stanisław Jacina (syn Macieja, szynkarza z Zakopanego, który korzystał z prawa propinacji Hrabiego) oraz Jan Gąsienica Jędraś. Zabraną broń leśniczy Goebel wysłał do Zarządu Dóbr, prosząc jednocześnie o wszczęcie dalszego postępowania, jako że zdarzenie miało miejsce na obcym terytorium<sup>66</sup>.

W sierpniu 1904 r., kiedy W. Zamoyski i Ch. Hohenlohe prowadzili prywatny proces o okolice M. Oka, cała służba leśna miała w związku z tym sporem tyle zajęć, że brakowało czasu na zwykłe obowiązki. W. Bieńkowski pisał do W. Szyborskiego:

Na Żabiem spokój – patrole ciągle [...] Wobec tego niemożliwą jest rzeczą dalej leśnych z rewiru tam trzymać, bo świat stosunki te tak wystudyował, że kłusownicy jeżdżą i chodzą do rewiru jak komu najdogodniej. Strzały słyszeć można w nocy we wszystkich kierunkach; wczoraj dostałem wiadomość, że dwa capy zabite koło Mnicha czy Pięciu Stawów – wysłałem tam na noc patrol. W zeszłym tygodniu nad Czarnym Stawem znalazł Bury capa zabitego – którego sobie przywłaszczył, słowem proszę o pozwolenie przyjęcia jednego nadetatowego leśnego [...] gdyż w żaden sposób służbie podolać nie możemy<sup>67</sup>.

Zwierzyny zatem ubywało w zastraszającym tempie. Pod koniec listopada, w okolicach Roztoki, na niewielkim stosunkowo obszarze, w przeciągu jednego tygodnia ubyło 6 saren. Jedną skłusował dróżnik z Roztoki, do kolejnej strzelano zza płotu z węgierskiej strony i zabrano za granicę, znaleziono zastrzelonego wcześniej rogacza, oraz 3 sarny zupełnie już zjedzone przez lisy, prawdopodobnie wcześniej też strzelane<sup>68</sup>.

Doniesienia o kłusownictwie pojawiają się także w następnych latach, aż do wybuchu wojny. W tym czasie, dla dezertków, kłusownictwo było sposobem na przeżycie, byli zatem niezwykle zdeterminowani, a żandarmeria nie zapuszczała się w góry. Straż leśna Dóbr Zakopiańskich nie zamierzała natomiast ścigać swych krewnych czy znajomych, którym udało się uciec z wojska. Dezertkiem był także syn W. Bieńkowskiego – Stanisław, któremu w ukrywaniu się w okolicach drogi do Morskiego Oka pomagała zamężna góralka. Skutkiem tej pomocy było uniknięcie walk na froncie, ale podobno także rozbite małżeństwo i dwójka nieślubnych dzieci. Tak sporo lat później przedstawiał sprawę Marian Liberak<sup>69</sup> w korespondencji z Antonim Pacyńskim – dyrektorem zarządu Fundacji „Zakłady Kór-

<sup>66</sup> BK 8081/2, k. 332.

<sup>67</sup> BK 8081/1, k. 95.

<sup>68</sup> BK 8081/1, k. 115.

<sup>69</sup> Marian Adam Liberak (6 XII 1890-30 III 1931), inż. leśnictwa, w l. 1921-28 nadleśniczy najpierw w dobrach W. Zamoyskiego, później w lasach Fundacji Kórnickiej.

nickie<sup>70</sup>. W każdym razie obecność dezertarów w górach przynosiła oplakane skutki dla stanów zwierzyny, wzmagała bowiem dodatkowo tradycyjne, góralskie kłusownictwo. Poza powszechnym – wynikającym ze specyficznego stosunku do cudzej własności – przekonaniem, że zwierzyna należy do Pana Boga i tego kto ją upoluje, ceniono bardzo tych, którzy byli „strzelcami”. Trafnie ujął to Wojciech Kossak pisząc „zbójnictwo otoczone było aureolą w ich pojęciu, a polowanie – powiedzmy kłusownictwo – [było] ich namiętnością”<sup>71</sup>. S. Barabasz w „Kuryerze Literacko-Naukowym” z maja 1932 roku w artykule o polowaniu na głuszcze w Tatrach pisze, że górale polują na nie z pasją nie dla zysku (bo ten niewielki) i nie dla mięsa (bo to wiosną w czasie toków bardzo twarde), lecz dlatego, że „to honorno strzelecko rzec mieć pióro z głuchania za kapalusem i dziewczki takiego rade widzom, bo to nie ciapłak, ba chłop i strzelec, haj”<sup>72</sup>. Trzeba dodać, że przy biedzie, wpisanej w życie Podhala, ważne były także przyczyny ekonomiczne, bowiem kłusownictwo dawało „miso, abo dutki”<sup>73</sup>. Dla Zarządu Dóbr ważniejsze od nielegalnych polowań, były w czasie wojny inne sprawy: stały brak gotówki, konieczność ekonomicznego przeżycia, utrzymania Szkoły Domowej Pracy Kobiet, nieobecność Hrabiego przez całą wojnę – nikt nie myślał o kłusownikach, choć wraz z dezertarami było ich wówczas mnóstwo. Po wojnie schedę po kłusownikach przejęły niechlubnie wojskowe patrole odrodzonego państwa. Warto przytoczyć jedną z wielu informacji W. Bieńkowskiego, który miał z nimi nieustanne kłopoty. W dniu 4 marca 1919 r. pod wieczór Bieńkowski spotkał na Małym Cichem patrol wojskowy złożony z pięciu ludzi, idący z Zakopanego do posterunku na Łysej Polanie. Pisał tak:

Ponieważ przypuszczalny nocleg ich na Cichem, w gnieździe samych kłusowników, wydał mi się dwuznacznym, wysłałem nazajutrz rano leśnego w tamtą stronę, aby dowiedzieć się którędy ta patrol podążyla na Łysą. Szli oni przez dworski las, oddali w lesie 3 strzały [...]. Na Hurkotnem dali znowu 3 strzały [...]. Wzmiankowana patrol wracała dziś z powrotem do Zakopanego, oddając dwa strzały powyżej starej leśniczówki. Zabrali ci sami wczoraj w nocy 1 mp. szczapu z lasu bez wszelkiego opowiedzenia się komukolwiek<sup>74</sup>

<sup>70</sup> BK 8855, k. 16-19. Młody Bieńkowski ukrywał się u żony dróżnika (zwanej Kantkową, siostry leśnego w służbie Hrabiego – Tomasza Dziadonia), na odcinku drogi między Łysą Polaną a Wodogrzmotami Mickiewicza. Po zakończeniu wojny prowadzili wspólnie schronisko na Łysej, rezultatem czego był, jak pisał M. Liberak, „trzeci potomek”. O samej wybrance S. Bieńkowskiego twierdził, że „[...] jest to prosta baba, a co do jej urody, to ma bielmo na jednym oku”.

<sup>71</sup> W. Kossak, *Wspomnienia*, Warszawa 1971, s. 81.

<sup>72</sup> S. Barabasz, *Polowanie na głuszcze w Tatrach*, „Kuryer Literacko-Naukowy”, dodatek do nr 127 „Ilustrowanego Kuryera Codziennego” z dnia 9 maja 1932, s.IV.

<sup>73</sup> S. Barabasz, op. cit., s. 167.

<sup>74</sup> BK 8087, k. 34-35.

Leśny Sitarz znalazł potem wnętrzności sarny porzucone przy drodze na Łysą oraz drugą sarnę zjedzoną niemal w całości przez lisy. Sam Sitarz, kilka miesięcy później został usunięty z rejonu Łysej po tym, jak okazało się, że prawdopodobnie handluje dworską zwierzyną. W ujawnieniu sprawy pomogła technika. W tym czasie (lipiec 1919 r.) na Łysej zainstalowano, przeniesiony z „Wodospa-dów” telefon. Któregoś dnia restauratorka z M. Oka zatelefonowała do Sitarza, z którym widocznie była umówiona. Ponieważ Sitarza nie było, komendant posterunku wojskowego (por. Dziewolski) „przez ciekawość”, jak pisze W. Bieńkowski, zgłosił się jako Sitarz i usłyszał pytanie: „A kiedy mi już dostarczycie tego jelenia?”. Ponieważ w tym oddziale polował kilkakrotnie bez rezultatu syn Bieńkowskiego, a także sam Sitarz (tym razem legalnie), leśniczy podejrzewał, że „zwierzyny ubywa, chociaż nikt powołany nie korzysta”<sup>75</sup>. W wyniku tych podejrzeń zastąpiono Sitarza Franciszkiem Łukaszczykiem Capowskim, któremu oddano także nadzór nad polowaniem w oddziale Łysa. Według opinii W. Bieńkowskiego znalazł się na tym lepiej od poprzednika „zwłaszcza na głuszce umie podprowadzać doskonale, zresztą nigdy w niczem nieposzlakowany”<sup>76</sup>.

Umiejętność podprowadzania na głuszce wymieniono u F. Łukaszczyka, jako cenną, istotną z punktu widzenia przyjęcia go do pracy. Bo też najwięcej gości i interesów skupiało się wokół tego krótkotrwałego (przełom kwietnia-maja) polowania. Julian Ejsmond<sup>77</sup> we wstępie do książki *Moje przygody łowieckie*, z pewną egzaltacją, ale zgodnic z prawdą napisał:

Pierwsze polowanie na wiosennym ciągu na słonki wieczorem – to pierwsza schadzka miłosna myśliwego z dziewiczą przyrodą... Pierwszy tok cietrzewi – to pierwsza nasza noc miłości z ukochaną naturą. A pod pieśnią głuszca – po raz pierwszy posłyszana – następują zaślubiny na wieki wieków duszy myśliwskiej z duszą puszczy...<sup>78</sup>.

Nic zatem dziwnego, że wielu było amatorów tego polowania; traktowano je też w dobrach W. Zamoyskiego w szczególny sposób. Ponieważ wynik polowania na głuszce był zdecydowanie pewniejszy niż polowania na niedźwiedzia, łatwiej było wykorzystywać je jako szczególną formę okazywania wdzięczności osobom przychylnym W. Zamoyskiemu, lub zyskania względów innych. Trzeba

<sup>75</sup> BK 8087, k. 62.

<sup>76</sup> BK 8087, k. 67.

<sup>77</sup> Julian Ejsmond (26 II 1892–29 VI 1930), poeta, prozaik, tłumacz, myśliwy, współautor ustawy *Prawo Łowieckie* (1928), przez pewien czas kierował Departamentem Łowiectwa w Min. Rolnictwa. Zginął w wyniku wypadku samochodowego w czasie powrotu z M. Oka, na tzw. Zakręcie Śmierci.

<sup>78</sup> J. Ejsmond, *Moje przygody łowieckie*. Poznań [i in.], [b. r.], s. 4.



zaznaczyć, że było to polowanie trudne, wymagające wiele wysiłku i sporo łowieckich umiejętności, a przede wszystkim współpracy ze strony służby leśnej. Kiedy bowiem głuszce zaczynały tokować, a termin rozpoczęcia toków zależał od pogody (przy ciepłej wiosnie ich gody rozpoczynały się wcześniej) – należało najpierw je „wysłuchać”, czyli określić w przybliżeniu rejon w którym tok się odbywa, a później trzeba było głuszca „zasadzić” tzn. ustalić dokładnie miejsce, w którym zapadł wieczorem na nocleg. Przed świtem podprowadzający i myśliwy musieli już być w pobliżu (najczęściej nocowali blisko w lesie, naturalnie bez rozpalania ognia) i czekali na początek pieśni, jako że koguty zaczynają tokować na długo przed wschodem słońca, a w czasie pełni niekiedy grają przez całą noc.. Pieśń składa się z czterech części, u dobrze grającego głuszca następujących szybko po sobie, w określonym rytmie. W ostatniej fazie, zwanej w języku łowieckim „szlifowaniem”, ptak przez krótki czas nie słyszy, umożliwiając myśliwemu zbliżenie się o 2-3 kroki. To tzw. „podskakiwanie” głuszca wymaga wielkiej sprawności fizycznej, bowiem najłabsze trzaśnięcie gałązki pod stopą myśliwego, pęknięcie lodowej skorupy, o którą wczesną wiosną w lesie nietrudno – jeśli nastąpi poza fazą „szlifowania”, płoszy głuszca i kończy polowanie w danym dniu, gdyż dojsię do strzału do innego koguta jest bardzo trudne. Intensywnie tokujący głuszcak może dać jednego ranka nawet około 200 pieśni. Samo wypatrzenie głuszca, wśród konarów, w warunkach słabej widoczności przed świtem, również nie jest łatwe. Strzał oddawano zatem także w czasie „gluchej” fazy pieśni, by móc w razie pudła – poprawić.

Stałym gościem Hrabiego na polowaniach na głuszce był dr J. Zduń, dobry znawca biologii tego gatunku, kilkakrotnie wcześniej wymieniany, który czasami już w styczniu przypominał się „laskawej pamięci [...] na wiosnę, na toki głuszca”<sup>79</sup>. Pod koniec marca 1900 r. zawiadomił K. E. Winiarskiego, że napisał bezpośrednio do Hrabiego, aby i w tym roku mógł odstrzelić głuszca w Kościeliskach. Na terenie Witowa, gdzie także polował, mieli się bowiem pojawić zaproszeni przez niego znajomi ( dr Franciszek Łubieński i dr Fryderyk Zoll<sup>80</sup>):

[...] będę się tedy musiał nimi zająć i dla mnie mało nadziei, żebym sam do strzału przyszedł, tem bardziej, że jednego z nich [...] będę musiał podprowadzać, bo tylko jeden pan Horvatt umie w Witowie dobrze podskakiwać<sup>81</sup>.

Uzyskał zgodę, ale przeniósł się do Kościelisk wraz ze swoim gościem F. Łubieńskim. Co prawda listownie rzecz całą wyjaśnił, sam głuszca nie strzelił,

<sup>79</sup>BK 8072/2, k. 402.

<sup>80</sup>Fryderyk Zoll młodszy (1 II 1865-23 III 1948) prawnik, prof. UJ, wykładowca Uniw. Wiedeńskiego, zatrudniony m.in. w Ministerstwie Handlu w Wiedniu.

<sup>81</sup>BK 8072/2, k. 405.

ale udzielone pozwolenie przekroczył. To samo uczynił w roku następnym. Zaproszony ponownie do Kościelisk, przyjechał ze swym sąsiadem z Rabki, doktorem [?]. Kadenem. Na samowolne rozciąganie udzielanych pozwoleń na znajomych, pomocnych w interesach J. Zduniowi, Zarząd nie mógł się bez końca godzić. W następnym zatem roku, 1902, zwlekano tak długo, jak tylko się dało z zawiadomieniem dra Z. o głuszcach, mimo, że chciano od niego zakupić większą ilość drewna na potrzeby papierni (oszczędzając własne drzewostany). Przyzwyczajony do tego, że robił w łowiskach zakopiańskich to, na co miał ochotę, nie potrafił ukryć irytacji w ponagających listach przysyłanych do Zarządu Dóbr:

6 V 1902

Dziś już jest 6.ty maj, a ja jakoś nie dostaję żadnej wiadomości o głuszcach w Czubic, czy tokują, czy też jeszcze nie. Proszę bardzo o laskawą wiadomość jak w tym roku poszło z głuszcami w Suwarowcj, czy odstrzelono którego i kto tam był.

14 V 1902 (telegram)

Co z głuszcami, dwudziesty blisko?

24 V 1902

Przy tej sposobności dziękuję za laskawe pozwolenie, co prawda tylko teoretyczne, polowania na głuszcę w tym roku<sup>82</sup>

Warto wyjaśnić, że ustawa pozwalała polować na głuszcę do 20 maja, a dr Zduń otrzymał zezwolenie z Zarządu w przeddzień napisania ostatniego listu, t. j. 23 maja. Trudno się zatem dziwić, akurat w jego przypadku, że sposobnością, przy której ironicznie dziękuje za pozwolenie, było poinformowanie Zarządu, że drewno sprzedał komu innemu. W następnym roku nie trafił już na listę zaproszonych na polowanie w Zakopanem, a pojawił się dopiero niechlubnie w towarzystwie hr. Starzeńskiego, dwa lata później, o czym już wspomniano. Był to typ myśliwego, który miał wyraźny kłopot z opanowaniem własnej pasji łowieckiej i samodyscypliną. Zresztą, najważniejszy i najbardziej emocjonujący wydawał się dla niego krwawy finał polowania. Pisał zresztą o tym bez skrępowania do Winiarskiego wymuszając kolejne zaproszenie na głuszcę:

Mnie jak czas toków nadejdzie tak do Tatr ciągnie, żeby choć jednego głuszcę ładnie tokującego podejść, przysłuchać i przypatrzeć mu się dobrze – a potem zastrzelić<sup>83</sup>.

---

<sup>82</sup>BK 8080, k. 220-222.

<sup>83</sup>BK 8072/2, k. 405.

Być może właśnie to nadmierne uleganie pasji przyczyniło się do jego tragicznej śmierci w roku 1906. Generałowa Zamoyska tak przedstawiła w liście do Hrabiego okoliczności śmierci dra Zdunia:

Nie wiem czy Cię doszła wiadomość o śmierci Pana Zdunia; poszedł na polowanie na kaczki, ale fuzya jego wystrzeliła mu pod samą brodę i śrut rozszarpał całe wnętrze szczęki i głowy. Biedaczysko, ten jeden strzał z domu jego usłyszano, potem już nic, aż o godzinie obiadowej pies sam powrócił do domu, ale niespokojny, poszli za nim i aż pod wieczór znaleziono go konającego w bagnie przy którym padł [...]!<sup>84</sup>

Prosił także o pozwolenie na odstrzał głuszca S. Barabasz, który w roku 1904, kiedy pisał w tej sprawie do Zarządu, nie był jeszcze na liście gości z pierwszeństwem do polowania:

Nadszedł maj, głuszce kończą tokować, kury już zapłodnione, może teraz uda się uzyskać pozwolenie na polowanie na głuszca, którego, prawdę mówiąc, tokującego nie widziałem jeszcze. Hrabiego samego wobec kłopotów jakie ma nie chcę tem trudzić, wiedząc iż wydanie takiego pozwolenia leży w mocy W.Pana. Jeżeli W.Pan może pozwolić, to bardzo o to proszę, jeżeli nie, to proszę uprzejmie zaraz odpisać, abym mógł jeszcze na czas postarać się o to w Witowie lub gdzie indziej<sup>85</sup>.

Prośbę spełniono, szczęście dopisało i 17 maja 1904 r. S. Barabasz strzelił na Czubie swego pierwszego, tokującego głuszca.

W roku 1900 zaproszenie otrzymał Bronisław Krause, referent oddziału technicznego Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń w Krakowie. Do jego obowiązków należało szacowanie wartości budynków oraz ustalanie terminów wykonywania tych szacunków. Jedno i drugie, biorąc pod uwagę liczbę należących do Hrabiego nieruchomości, a także niebezpieczeństwo pożaru w każdej z nich, było, z punktu widzenia interesów Zarządu Dóbr, bardzo ważne. Wraz z nim zaproszono prof. Józefa Rozwadowskiego<sup>86</sup>, v-ce prezesa Krajowego Towarzystwa Rybackiego, przydatnego z kolei w prowadzonych przez W. Zamoyskiego zabiegach zarybiania tatrzańskich potoków i rzek. Profesor odpowiedział na zaproszenie odmownie, ale z wdzięcznością i dużą dozą samokrytycyzmu:

Serdecznie dziękuję za pozwolenie wzięcia udziału w iście „królewskiej ochocie” na głuszca. Skorzystałbym niezawodnie z łaskawych względów, szczegól-

<sup>84</sup>BK 7592. k. 385.

<sup>85</sup>BK 8081/1, k. 31.

<sup>86</sup>Józef Rozwadowski (25 III 1844-22 IX 1937), filolog, ichtiolog, zamiłowany wędkarz i myśliwy, autor licznych artykułów w tym cyklu *Nasze ryby* na łamach „Okólnika Rybackiego”.

nie, iż to dla mnie rarytas nadzwyczajny, ale nie dowierzam własnym pedałom, a pokpić sprawę z tego tytułu nie chciałbym<sup>87</sup>.

B. Krause umówił się z K. E. Winiarskim na polowanie (jednocześnie na szacowanie niektórych budynków). Poprosił także, korzystając z tego, że prof. Rozwadowski zwolnił miejsce:

[...] czyby nie można zamiast Rozwadowskiego wyrobić pozwolenie na strzelanie jednego głuszca, o ile takowy byłby do dyspozycji, dla p. Jaworskiego<sup>88</sup>, doktora filozofii, człowieka młodego, członka naszej spółki myśliwskiej i znanego taternika<sup>89</sup>.

Nie dodawał, ale też nie było takiej potrzeby, że Władysław Zygmunt Jaworski był mężem Zofii Krause. Być może to tylko zbieżność nazwisk, stopnia pokrewieństwa bowiem między panami nie udało się ustalić.

Kiedy planowano zbudowanie zapory na Białce, co wywołało zdecydowany sprzeciw właścicieli Poronina – Uznańskich, zaproszenie na polowanie na głuszca otrzymał p. Martyniec, specjalista do spraw regulacji potoków górskich. Miał on wpływy we Lwowie, bowiem to w wyniku jego interwencji wspomniana budowa uznana została tak przez Ministerstwo Rolnictwa, jak i Wydział Krajowy za budowę rządową, przeciw której Uznańscy protestować nie mogli. Na zaproszenie wysłane w roku 1900 odpowiedział, że gdyby Zakopane nie było tak oddalone od Sambora (gdzie mieszkał) chętnie by przyjechał. Ponieważ jednak tokowiska miał bliżej, a czasu mało – z głuszców zrezygnował, prosząc jednocześnie o możliwość zapolowania „jeżeli łaska pozwolić”<sup>90</sup> na rogacze w czerwcu lub lipcu. Mimo stałego kontaktu w sprawach służbowych, polowanie takie zaplanowano dopiero cztery lata później, za to ze szczególną oprawą, której pomysłodawcą był leśniczy R. Goebel. Zaproponował on następujący przebieg polowania:

Proszę aby przyjechali [p. Martyniec i jego znajomy p. Wang] do Małej Łąki, gdzie będą oczekiwał z leśnymi, stąd prawdopodobnie rozejdą się każdy w swoją stronę. Jeżeliby Wny Pan chciał zrobić im siurpryzę i polowanie w górach na podchodnego trochę upiększyć, to dobrzeby było, ażeby Wny Pan kazał osiodłać dwa konie np. kucc, takowe odprowadzić naprzód do Małej Łąki do leśniarki – aż dotąd przyjechaliby panowie furką, a stąd każdy ze swym przewodnikiem wierzchem tak daleko, jak się da. Tu koń zostałby pod opieką chłopaka, a myśliwy

---

<sup>87</sup>BK 8072/2, k. 243.

<sup>88</sup> Zygmunt Władysław Jaworski (I V 1872-13 VIII 1952), specjalista hodowli bydła i mleczarstwa, prof. USB i UJ, uprawiał taternictwo w l. 1888-1900.

<sup>89</sup>BK 8072/2, k. 371-372.

<sup>90</sup> BK 8072/2, k. 210.

z przewodnikiem poszliby na podchodnego kozła. Polowanie takie nie będzie tak męczące, co także podnosi przyjemność myśliwską<sup>91</sup>.

Brak jest informacji na temat efektów planowanego polowania, być może goście, z braku czasu, ponownie nie dojechali. W tym jednak przypadku samo zaproszenie wystarczyło, by zyskać ich życzliwość.

Zapraszano na toki księcia Kazimierza Lubomirskiego<sup>92</sup>, który w licznych sprawach służył pomocą Generałowej, zwłaszcza w czasie częstych nieobecności w Zakopanem W. Zamoyskiego. Przyjeżdżał także prof. Leon Marchlewski<sup>93</sup>, choć zaproszenia dla niego nie były raczej traktowane priorytetowo. Tak było w roku 1912, kiedy to profesor, prawdopodobnie otrzymawszy od W. Szyborskiego informację, że głuszce są już rozdysponowane dla innych myśliwych, napisał z pewnym wyrzutem, że „wiadomość w sprawie odstrzału głuszca o tyle jest dla mnie niespodzianką, że starania moje o pozwolenie datują się chyba od czasu kiedy jeszcze inni myśliwi nurzali się w rozkoszach (?) karnawału”<sup>94</sup>. Ponieważ wiosna była tego roku późna, głuszce tokowały jeszcze po połowie maja – W. Szyborski nie chcąc pozbawiać pasjonata przyjemności (a profesor nie był myśliwym w typie hr. Starzeńskiego czy dra Zdunia) 11 maja zawiadomił go, że głuszcę przeznaczony dla niego czeka na Ornaku „jeśli go tylko kłusownicy nie sprzątną wcześniej”<sup>95</sup>. Nie bez wpływu na jego decyzję była zapewne interwencja siostry prof. Marchlewskiego – Józefy, żony dra Henryka Wilczyńskiego<sup>96</sup>, pod koniec życia W. Zamoyskiego jednego z najbardziej zaufanych jego współpracowników. Profesor nie mógł zresztą narzekać, ponieważ polował na głuszce w roku poprzednim (w okolicach Hali Miętusiej), a także następnym, kiedy asygnatę otrzymał już 3 kwietnia, bez wskazania jednak dokładnego miejsca polowania „gdyż na razie nie wiemy nic jeszcze, jak rozdzielić tokowiska pomiędzy myśliwych”<sup>97</sup>. Była to czynność nader istotna z punktu widzenia

<sup>91</sup> BK 8081/2, k. 336.

<sup>92</sup> Kazimierz Lubomirski (16 VII 1869 Przeworsk-15 XII 1930 Kraków), konserwatywny polityk galicyjski, poseł na sejm krajowy w l. 1901-13, pierwszy poseł Polski w Waszyngtonie (1919-1922), prezes Rady Naczelnej Organizacji Ziemiańskich, polski delegat (od 1923 r.) do Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego.

<sup>93</sup> Leon Marchlewski (15 XII 1869-16 I 1946), wybitny chemik, kierownik Katedry Chemii Lekarskiej UJ w l. 1906-45, rektor UJ 1926-28, st. inspektor Państw. Zakładu Badania Środków Spożywczych w l. 1900-06.

<sup>94</sup> BK 8083/2, k. 246.

<sup>95</sup> BK 8091a, k. 29.

<sup>96</sup> Henryk Wilczyński (1883-2 II 1935), lekarz, działacz Tow. Tatrzańskie, właściciel pensjonatu „Warszawianka”, w l. 1923-25 dyrektor Zarządu Dóbr hr. W. Zamoyskiego. Zrezygnował po utworzeniu Fundacji „Zakłady Kórnickie” nie zgadzając się z działaniami jej Zarządu.

<sup>97</sup> BK 8086, k. 30.

skuteczności polowania. Po pierwsze, w zależności od miejsca toku, teren do „podskakiwania” i samo podejście mogło być mniej lub bardziej uciążliwe. Po drugie, sądząc z doniesień W. Bieńkowskiego<sup>98</sup>, głuszce w Czubie czy okolicach Gołego Wierch tokowały niekiedy tak blisko siebie, że tylko jeden myśliwy mógł je podchodzić. Po trzecie wreszcie, dotarcie do tokowisk w rewirze kościeliskim było zdecydowanie łatwiejsze. Zapraszani zatem grzecznościowo, jak prof. L. Marchlewski czy S. Barabasz, musieli liczyć się z tym, że tokowiska łatwo dostępne i dające (na ile to możliwe na polowaniu) gwarancję sukcesu, będą zajęte przez myśliwych ważnych dla Hrabiego z punktu widzenia prowadzonych przez niego interesów. Ponadto, choć forma kierowanych do nich zaproszeń nie stawiała ich w niezręcznej sytuacji ludzi, którym robiono łaskę, to jednak nigdy nie była tak entuzjastyczna, jak w przypadku osób, z którymi można było coś istotnego załatwić. Takie zaproszenie otrzymał w kwietniu 1913 r. c. k. inspektor lasów z Nowego Sącza – Edward Migdał (późniejszy współautor *Bibliografii leśnej i łowieckiej*), który będąc na kontroli w rewirze Kościelisko zwierzył się tamtejszemu leśniczemu, Ferdynandowi Lorensowi, że chciałby zapolować na głuszca. W. Szyborski napisał do niego:

Wiadomość ta sprawiła mi prawdziwą przyjemność i uprzejmie donoszę, że głuszcę dla Pana Inspektora przeznaczony jest na Ornaku w Dolinie Kościeliskiej<sup>99</sup>.

Warto tu zaznaczyć, że wynik takiej inspekcji znacząco wpływał na możliwości prowadzenia gospodarki leśnej, co naturalnie miało swój wymiar finansowy. Zupełnie inaczej traktowano tych, którym z racji pełnionych funkcji administracyjnych wydawało się, że mogą liczyć na szczególne względy. Hrabia za przedstawicielami władz galicyjskich nie przepadał, uważając, że zbyt są ulegli dla Niemców, Żydów i Węgrów, toteż kiedy starosta z Nowego Targu, hrabia Juliusz Borkowski otrzymał w maju 1916 r. pozwolenie na odstrzelenie głuszca (w trudnym rewirze Bukowina-Brzegi), bo odmowa mogła być dla Zarządu Dóbr niewygodna, W. Szyborski napisał do W. Bieńkowskiego:

Przez hr. Borkowskiego napisałem W.Panu, aby do wysłuchania głuszca można było dać leśnego Pawlikowskiego. Jeśli jednak W.Pan ma dla leśnych pilniejsze zajęcia, to p. hr. Borkowskiemu należy powiedzieć, aby sobie sam wysłuchał głuszca<sup>100</sup>.

<sup>98</sup> BK 8085/1, k. 132. 136.

<sup>99</sup> BK 8086, k. 56.

<sup>100</sup> BK 8088, k. 256.

W takiej sytuacji, myśliwy nie znający dobrze terenu otrzymywał, używając wcześniejszego określenia dra Zdunia, pozwolenie „teoretyczne”. Był to czas wojny, kiedy w majątkach, także w Zakopanem, zatrudniano jeńców rosyjskich i serbskich, kiedy środkami administracyjnymi zmuszano do pracy furmanów przy zwózce drewna, a o wszystkim w dużym stopniu decydowało starostwo. Ponieważ zdecydowanie łaskawsze było dla Uznańskich, trudno się dziwić niechęci pełnomocnika dóbr zakopiańskich do hr. Borkowskiego. Zaprosił go, bo musiał, ale też nie zamierzał zrobić nic ponad to.

Zdarzało się, że Hrabia, w typowy dla siebie sposób, angażował się w załatwianie cudzych interesów. Tak było w przypadku zaproszenia na polowanie Władysława Długosza<sup>101</sup>, ministra do spraw Galicji w rządzie wiedeńskim, człowieka znanego z czynności, który załatwiał uzyskanie kredytu przez dra Andrzeja Chramca<sup>102</sup>. Ten ostatni budując swój nowy zakład wodoleczniczy źle ocenił swoje możliwości finansowe i zadłużył się bardzo poważnie także u W. Zamoyskiego. Zatem Hrabia działał nie do końca w cudzym interesie zapraszając W. Długosza na polowanie do Zakopanego. Pan minister kredyt A. Chramcowi załatwił, choć polowanie zakończył bez sukcesu. Trzeba jednak zaznaczyć, że wielkim myśliwym nie był, co wynika z relacji W. Bieńkowskiego z 12 października 1913 r.:

Uprzejmie donoszę, iż JE Pan Minister strzelał do 4.ech rogaczy [!], z których prawdopodobnie tylko ostatni jest postrzelony. Widział także parę głuszców i lisa, i wszystko to było do strzału. Jeleni nie napotkano, ale też nie mógł Eksce-lencja tam dojść, gdzie jelenie żerują<sup>103</sup>.

Osobną kwestię stanowiły polowania typowo komercyjne. Sprawę ogłoszeń dotyczących ewentualnego odstrzału rogaczy za określoną stawkę już sygnalizowano wyżej. Ten sposób zwiększania przychodów stosowano zwłaszcza w latach poprzedzających wybuch I wojny światowej, przeznaczając do odstrzału głównie jelenie. Po pierwsze stawki były wyższe, po drugie z jeleniami było sporo kłopotu, powodowały bowiem szkody i w lesie i na polach, za które Zarząd Dóbr musiał płacić. We wrześniu roku 1913 była to np. kwota 700 koron<sup>104</sup>. Wymagały także dodatkowych nakładów, zwłaszcza w czasie długotrwałych zim.

---

<sup>101</sup> Władysław Długosz (24 VII 1864-24 VI 1937), przemyslowiec z branży naftowej, polityk, minister.

<sup>102</sup> Andrzej Chramiec (27 XI 1859 Zakopane-31 XII 1939 Katowice), lekarz, pierwszy góral z Zakopanego z wyższym wykształceniem, właściciel popularnego zakładu wodoleczniczego, wieloletni wójt Zakopanego. Od roku 1916 poza Zakopanem.

<sup>103</sup> BK 8087, k. 1.

<sup>104</sup> BK 8085/1, k. 161.

Już kilka lat wcześniej dokarmiano zwierzynę co drugi, trzeci dzień. Leśniczy R. Goebel informował Zarząd, że „karmę zwierzynic zakładamy [...] w żerowiskach starych, jako też w 20 do 30 miejscach świeżych, wzdłuż popod regle. Zwierzyna zjada wyłożone porcyce do czysta”<sup>105</sup>. Lata przed I wojną to jednocześnie okres, kiedy gospodarstwo łowieckie ks. Hohenlohe na Jaworzynie podupało, nie było już szczelnych płotów ani licznej straży łowieckiej, a zwierzyna w poszukiwaniu żeru nie zważała na granice własności. Zarząd zatem umożliwiał polowanie amatorom według ściśle ustalonych stawek. Zachowała się korespondencja z Ferdinandem Jantschem, właścicielem przędzalni bawełny z miejscowości Reichenberg w Czechach, który w roku 1911 zastrzelił dość lichego jelenia w Zakopanem, płacąc za niego 350 koron (to mniej więcej miesięczna płaca dziesięciu leśnych Hrabiego). Chciał przyjechać także w roku 1912, ale ceny wydawały mu się dość wygórowane, zapolował zatem na Węgrzech, gdzie wg własnej relacji strzelił cztery kapitalne byki<sup>106</sup>. Ceny proponowane przez W. Szymborskiego rzeczywiście nie należały do niskich. Za jelenie w Zakopanem żądano od 250 koron za ósmaka do 600 koron za szesnastaka<sup>107</sup>. Chętnych jednakże znajdowano. W okresie rykowiska w roku 1913 miał przyjechać do Zakopanego p. Edward Burger z Rytra, właściciel przedsiębiorstwa „wyróbki i dostaw drzewa do tartaków i kolei” wraz ze swym kolegą [?]. Liniarzem. Ponieważ interesy nie pozwalały mu przyjechać w umówionym terminie, prosił W. Szymborskiego, by innym myśliwym „wyznaczyć teren gdzie są jelenie z mniejszymi rogami, dla mnie proszę zatrzymać taki teren, gdzie jelenie są pewne”<sup>108</sup>. Ponieważ panowie przyjechali dopiero w listopadzie, grubo po rykowisku – nic nie strzelili.

Lata 1912-13, być może dlatego, że przygasła wówczas sława zwierzynca na Jaworzynie, próbowano wykorzystać do uzyskania większych przychodów z łowiectwa. Raz nawet, na przełomie lat 1913/14 – w dość dziwny sposób. W grudniu 1913 r. Zarząd wysłał pismo do A. Vallego z Przyrowa na Morawach, zezwalając na sprowadzenie do lasów zakopiańskich (w rewirze bukowińskim) „amerykańskich zubrów” do odstrzału w ściśle oznaczonym dniu. W zamian Zarząd miał otrzymać ryczałtem po 100 koron od sztuki (płatnych gotówką do ręki W. Bieńkowskiego). Jednocześnie do dozoru każdej sztuki Zarząd miał zapewnić po 3 strażników, płatnych po 10 koron dziennie każdy (ich miesięczna płaca wynosiła ok. 30-40 koron). Naturalnie Zarząd nie brał na siebie

<sup>105</sup> BK 8082/2, k. 393.

<sup>106</sup> Kapitalny byk. to jeleni wyróżniający się masą tuszy, kondycją czy potęgą wieńca (poroża).

<sup>107</sup> Określenie wynikające z liczby odnóg na jednej tyce. Np. ósmak ma – przynajmniej na jednej tyce – cztery odnogi.

<sup>108</sup> BK 8085/1, k. 250.



odpowiedzialności za ucieczkę bądź śmierć zwierząt w inny sposób, niż z ręki myśliwego. Pismo datowane było 13 grudnia, a układ miał obowiązywać do końca stycznia roku następnego. Rzeczą całą traktowano chyba jako dość wstydliwą, bowiem pismo kończy się następującym *post scriptum*:

Zarząd Dóbr Zakopane wyda przez leśniczego Bienkowskiego dla straży leśnej [poleceń], aby wiadomości o odstrzale żubrów, oraz wiadomości skąd żubry pochodzą i przez kogo są strzelane itd. nie były podawane do wiadomości ogólnej<sup>109</sup>.

Jest wielce prawdopodobne, że bizon p. Valla zakupił z likwidowanego zwierzynca ks. Hohenlohego, czym Zarząd, przez tyle lat będący z nim w sporze, chwalić się nie chciał. Ponieważ rzecz cała miała się odbywać dyskretnie, o efektach przedsięwzięcia brak danych, a jego finansowe skutki – biorąc pod uwagę, że pieniądze miano przekazać gotówką – nie są uwidocznione w księgowości.

Pod koniec pierwszej wojny światowej i tuż po jej zakończeniu, łowiectwo z konieczności stało się źródłem zaopatrzenia w mięso. Panująca drożyzna, ogromne trudności z zaopatrzeniem, spowodowały, że zakopiańskie sarny i jelenie, kiedyś przeznaczone do odstrzału dla gości Hrabiego, bądź sprzedawane przez kłusowników do pensjonatów – w tym okresie pozwalały przeżyć służbie leśnej i Szkole Domowej Pracy Kobiet. Początkowo (1916 r.) sprzedawano mięso z jelenia po 0,50 kr. za kilogram, później – po 1 kr. za kilogram – polując dość intensywnie.

Łowiectwo zakopiańskie prowadzono zawsze, co należy podkreślić, w sposób racjonalny, w zgodzie z obowiązującym prawem. Od roli „wielkich łowów”, polowań prestiżowych, poprzez wykorzystywanie go dla interesów, komercję, sprowadzone zostało jednak w pewnym okresie do swej pierwotnej, prozaicznej funkcji – dostarczania dziczyzny. Nieuprawnione byłoby formułowanie negatywnych ocen tego stanu rzeczy, wymuszonego przecież sytuacją gospodarczą. Dodatkowo byłyby to oceny krzywdzące, jeśli weźmie się pod uwagę, że w wielu innych regionach jednoczonego po zaborach kraju trzeba było całkowicie wstrzymać polowania na niektóre gatunki, by ratować resztki zwierzostanu. Do takiej sytuacji w Zakopanem nie doszło. Łowiectwo od dłuższego już czasu nie stanowiło atrybutu przynależności do określonej klasy. Nieliczni przedstawiciele arystokracji (bo ziemiaństwa nie było na to stać), którzy starali się utrzymać jego wielkopański charakter, ponosili w tym celu ogromne nakłady. Jeśli zatem czegoś brakowało zakopiańskim łowom – to rozmachu, specyficznej aury, atmosfery pożądanego i wyczekiwanego towarzyskiego spotkania dla nielicznych. Były, używając stylu J. Ejsmonda, jak nieoszlifowany diament. Można sobie wyobra-

---

<sup>109</sup> BK 8074/1, nlb.

zić, że myśliwskim wyprawom towarzyszą góralskie kapele, obficie zaopatrzone kuchnie, wieczorne watry wzorem z wypraw Tytusa Chałubińskiego. Głośno byłoby wówczas zapewne o zakopiańskich łowach, a od ich potencjalnych uczestników ciężko byłoby się uwolnić. W przypadku W. Zamoyskiego, koszty takiego „szlif” były – raczej słusznie – absolutnie nie do zaakceptowania. Zbyt wiele widział innych potrzeb, zbyt wiele ważniejszych celów, by topił pieniądze w błahostkach i dla demonstracji. Nie pojmowali tego jego współcześni, dziwiąc się często, iż miał jedną tylko pasję, której poświęcił wszystko – ojczyznę. Doskonale ujął to, krótko po śmierci Zamoyskiego, hrabia Benedykt Tyszkiewicz<sup>110</sup>:

Można [...] powiedzieć, że tego człowieka, co żył przeszłością i przyszłością, terażniejszość całkiem nie rozumiała, tak jak on sam, nie mając krzty egoizmu w duszy, nie znał dzieci swej epoki, którą olbrzymim krokiem w jakąś nieznaną przyszłość przeskoczył. Występuje on na tle dzisiejszych czasów jak meteor, co z innego świata na nasz spada, by z gorącej masy stopić się i skamienieć na wzór pomnika. Takim drogocennym, muzealnym kamieniem był Władysław, zwłaszcza przed śmiercią, po doznaniu niezliczonych rozczarowań i zawodów we własnej ojczyźnie<sup>111</sup>.

Dopiero sporo lat później, w czasach Fundacji „Zakłady Kórnickie” próbowano łowiskom zakopiańskim przywrócić nieco wielkopańskiego blasku, bez szczególnego jednak powodzenia.

Najważniejsze jest jednak, że przez cały czas posiadania dóbr zakopiańskich Hrabia, być może podświadomie, stosował zasadę gospodarowania zwierzyną, którą przyjęli nieco później działacze jednoczący łowiectwo wszystkich byłych zaborów: „Chronić, by móc korzystać i korzystać, by mieć zachętę do lepszej ochrony”. Do tej pory, w najogólniejszym rozumieniu tych słów, nie wymyślono lepszego sposobu aktywnej ochrony przyrody.

---

<sup>110</sup> Benedykt Tyszkiewicz (1849-1939), jeden z pierwszych inżynierów wśród rodzin arystokratycznych, specjalista z dziedziny cukrownictwa. autor licznych artykułów poświęconych tej branży i szerzej – gospodarce rolnej, ale także podręcznika gry na skrzypcach *A.B.C. Skrzypaka*.

<sup>111</sup> B. Tyszkiewicz, *Duny i dumki czyli prawdziwa powieść*, Warszawa 2006, T. I, s. 161.